

DARIUSZ ANDRZEJ SIKORSKI
Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu
Wydział Historii
ORCID: 0000-0002-9230-6423

„Ciemność, widzę ciemność, ciemność widzę”¹, czyli gonitwa ornitologów za ptaszkiem (w odpowiedzi na repliki kilku Autorów *Wprowadzenia do metodologii historii*)²

Słowa klucze: metodologia historii, filozofia historii, prawda historyczna, fakt historyczny, wydarzenie historyczne, paradygmat w historii, historia historiografii, historyzm

Keywords: methodology of history, philosophy of history, historical truth, historical event, historical fact, history of historiography, historicism

Nie będę zanudzać czytelników „Przeglądu Historycznego” moimi wrażeniami z lektury większości odpowiedzi na moją recenzję i moją oceną niektórych z nich. Przekaz zawarty w wielu tekstach jest zapewne na tyle jasny, że nie wymaga on z mojej strony żadnego komentarza poza odniesieniem się do niektórych odpowiedzi, których autorzy podnoszą uwagi merytoryczne.

Muszę jednak odnieść się do kilku zarzutów najpoważniejszych, a zupełnie niemerytorycznych. Taktyka argumentacji przyjęta przez Redaktorów i niektórych Autorów odpowiedzi w podważeniu wartości mojej recenzji jest trzytorowa: 1) przez wskazanie pozamerytorycznych motywów, którymi miałem się kierować, oraz przez rzekomy 2) brak kompetencji z mojej strony do napisania recenzji książki z zakresu metodologii historii, oraz 3) brak doświadczenia dydaktycznego by oceniać podręcznik do metodologii historii.

Jan Pomorski sugeruje (s. 418), a Ewa Domańska pisze wprost o „zaplanowanym ataku na metodologię i metodologów”, o „frontalnym ataku nie tyle, czy nie tylko, na samą książkę, ale i na metodologię historii jako taką oraz na reprezentujących ją badaczy”, o „walce o «rząd dusz» studentów i o zajęcia”, o „hybrydowy najazd na metodologię i próbę zakwestionowania suwerenności tej subdyscypliny

¹ Słowa wypowiedziane przez jednego z bohaterów filmu „Seksmisja” (reż. J. Machulski, 1983) po wybudzeniu z długiej hibernacji.

² Dla przejrzystości tekstu cytaty i odsyłacze do mojej recenzji będę zaznaczał tylko numerem strony, podobnie jak nawiązania do pozostałych recenzji. Wszystkie pogrubienia są moje, także gdy cytuję innych. Tłumaczenia z języków obcych, o ile nie zaznaczyłem inaczej są mego autorstwa.

badań historycznych, a nawet jej samej.” W końcu twierdzi, że doszło do czegoś w rodzaju spisku, bo „od dłuższego czasu planowany (już w trakcie powstawania podręcznika) i przygotowany atak na metodologię i metodologów historii, który zresztą – co interesujące – inspirowany jest działaniami środowiska poznańskich źródłoznawców i historyków średniowiecza” (s. 420, podkr. D.S.), na czele którego miałbym zapewne stać ja i Edward Skibiński³. Pozostali Autorzy w taki, czy inny sposób wypowiadają się podobnie.

Przyznaję się, „spiskowałem”. Rzeczywiście przyczyniłem się do tego, że jedną z recenzji napisał filozof Jan Woleński. Czytając „Wprowadzenie do metodologii historii” (dalej WMH) uznałem, że o tej publikacji powinien wypowiedzieć się również filozof zajmujący się problematyką metodologiczną – stanowisko chyba jak najbardziej merytorycznie uzasadnione. Wiosną 2023 r. napisałem do J. Woleńskiego maila z informacją, że taki podręcznik się ukazał i zapytałem czy nie byłby zainteresowany napisaniem recenzji ponieważ „Przegląd Historyczny” (dalej PH) otwiera swoje łamy na dyskusję nad WMH, a moim zdaniem jego głos byłby ważny i wyjaśniłem dlaczego. Był to mój pierwszy kontakt z Janem Woleńskim, który już później w tej sprawie kontaktował się wyłącznie z Redakcją PH. Okazało się zresztą, że z podręcznikiem zapoznał się tuż po jego premierze, gdyż w tekście jego autorstwa opublikowanym online w styczniu 2023 r. już był cytowany. Jeden z Autorów WMH (Piotr Kowalewski Jahromi) uznał ten tekst za najcenniejszy ze wszystkich pięciu (s. 463). Nie prowadziłem dyskusji z Edwardem Skibińskim o WMH przed publikacją mojej recenzji, ani niczego w tej sprawie z nim nie ustalałem. Ot, i cały spisek.

Jednakże nie bez powodu większość Autorów odpowiedzi chce połączyć mnie i Skibińskiego oraz odnosi się do naszych poglądów tak, jakby rzeczywiście były wspólne, niemal wspólnie wypowiedane. Dlatego też czytelnik może sądzić, że przypisywane nam wspólne poglądy były rzeczywiście wspólnie uzgadniane. Tylko w dwóch sprawach wyrażamy się podobnie: to kwestia miejsca metodologii historii w nauce i paradygmatycznego (w sensie Kuhnowskim) rozwoju nauki historycznej. Tu o zgodę było łatwo, bo są to oczywistości. W pozostałych odmiennie widzimy te same sprawy i albo inaczej argumentujemy w tej samej sprawie, albo się po prostu różnimy. Nazywanie nas obu „poznańskimi źródłoznawcami” jest nieporozumieniem. Ja zajmuję się źródłami w takim zakresie, w jakim zajmuje się nimi każdy historyk pracujący na źródłach i z tego tytułu musi być źródłoznawcą w kwestii wykorzystywanych źródeł. Rozumiem, że dawna figura wstecznego historyka,

³ E. Domańska sugeruje (s. 420, przyp. 42), że recenzowanie przeze mnie trzech prac powstałych w środowisku poznańskich metodologów (włączając WMH) jest wyrazem jakiegoś konfliktu środowiskowego. Ale przecież Autorka wie, że nie mam żadnego naukowego ani osobistego kontaktu z tym środowiskiem poza bardzo dobrymi do niedawna relacjami naukowymi i osobistymi z samą Ewą Domańską, która – znając moje zainteresowania metodologią historii – kilka lat temu proponowała mi nawet wspólne utworzenie pracowni (oczywiście nie mediewistycznej), której miałbym być nawet kierownikiem, bo sama była do niedawna traktowana przez to środowisko jako „ciało obce”.

funkcjonująca w środowisku metodologów pod szyldem „historyka klasycznego” została teraz zastąpiona „historykiem-źródłoznawcą”.

Drugi tor krytyki mojej recenzji zmierza do wykazania braku mojego wykształcenia w zakresie metodologii historii, a co za tym idzie braku kompetencji do tego, by w ogóle o metodologii się wypowiadać. Mimo ich braku – jak twierdzą Redaktorzy i pozostali Autorzy odpowiedzi – „[Sikorski] próbuje przeprowadzić ofensywę, która rzekomo obnaża mierność intelektualną i niekompetencje specjalistów od metodologii historii, podważa autorytet i wiedzę znanych w Polsce i świecie przedstawicieli tej dyscypliny” (Domańska s. 421). Ewa Domańska stwierdza:

Żaden z recenzentów nie robił bowiem stopni naukowych z metodologii (czy teorii) historii, nie pracował pod kierunkiem badaczy zajmujących się metodologią historii, nie publikuje w krajowych i zagranicznych czasopismach, które są platformą tych subdyscyplin, nie występuje na konferencjach metodologicznych, nie ma doświadczeń dydaktycznych w uczeniu tych przedmiotów i nie jest też rozpoznawany przez środowisko metodologów i teoretyków historii jako specjalista tych pól badawczych (s. 419).

Inaczej mówiąc, chodzi o to, że nikt z grona metodologów (czy środowisko jako całość) nie udzielił mi licencji na zajmowanie się metodologią. I co z tego? Kto w latach sześćdziesiątych dał Jerzemu Topolskiemu czy Wandzie Moszczeńskiej taką licencję? Kto dał podobne licencje takim „uwrażliwionym metodologicznie” historykom jak Peter Burke czy Arnaldo Momigliano i wielu innym?

Gdybym napisał recenzję pozytywną z WMH zapewne nikt z grona Autorów by nie pytał czy moja wypowiedź jest kompetentna i czy posiadam odpowiednie wykształcenie, by się w ogóle wypowiadać (także pozytywnie). Nie byłoby też protestu, że mój głos jest nieważny bo wypowiedzany przez osobę bez kompetencji, gdyby tylko mój głos był zgodny z dominującymi w tym środowisku poglądami.

Ale ten kij ma dwa końce. Czy metodolodzy wchodząc w historię przedmiotową, a zatem istotę badań historycznych nie powinni w takim razie wykazać się referencjami odpowiadającymi tym, o których mówi Ewa Domańska? Czy Autorzy niektórych odpowiedzi, jak Wiktor Werner i Piotr Witek, analizujący polemiki moje i E. Skibińskiego toczone na polu mediewistyki i wyciągający na ich podstawie wnioski, nie przekraczają swoich kompetencji oceniając, który z polemistów w konkretnym sporze merytorycznym miał rację? Czy to samo nie dotyczy metodologów, którzy często wypowiadają się o książkach historycznych w kwestiach leżących poza aspektami metodologicznymi? A przecież czynią tak nieustannie. Jakie kompetencje ma Jan Pomorski – odwołując się tylko do listy referencji podanych przez Domańską – by wysoko oceniać wartość naukową takich książek jak Jana Sowy *Fantomowe ciało króla. Peryferyjne zmagania z nowoczesną formą* i Andrzej Ledera *Prześniona rewolucja. Ćwiczenia z logiki historycznej*, jako dzieł historycznych (s. 416)?

Oczekiwanie, żeby historycy wypowiadający się w kwestiach metodologii historii wykazywali się formalnie czy półformalnie metodologicznym wykształceniem

jest oczywistym absurdem, bo wszyscy metodolodzy historii są w pewnym stopniu samoukami. Moszczeńską i Topolskiego (który nie miał formalnego wykształcenia jako historyk, podobnie jak Skibiński) zainteresowała problematyka metodologiczna, zaczęli więc czytać prace z tego zakresu, a czytając zastanawiać się nad tym, co przeczytali po czym wyciągali własne wnioski z lektur i pisemnie dzielili się nimi z innymi, gdy uznali, że mają coś do powiedzenia. Gdyby byli mniej inteligentni i zbyt mało odcytani, to ich ewentualne dotkliwe braki pod tym względem szybko stałyby się w ich tekstach uchwytnie i dzisiaj nie pamiętalibyśmy o nich jako metodologach. Dlaczego więc Autorzy odpowiedzi zakładają, że recenzenci takich kompetencji nie nabyli, obcując z dziełami wybitnych żyjących i nieżyjących historyków, metodologów, czy filozofów historii, a poprzez lekturę ich dzieł wchodząc z nimi w intelektualny dialog? Jak metodolodzy chcą upowszechnić kulturę metodologiczną? Czy tylko poprzez formalne kursy metodologii historii prowadzone przez nich samych? Czy może raczej poprzez pobudzanie zainteresowań? Dlatego dopominałem się o to, aby w WMH znajdował się rozdział, który byłby dla studenta – także tego, który z metodologią rozstał się na kilka lat – czymś w rodzaju przewodnika po najniezbędniejszych lekturach. Taki starter dla zainteresowanych być może byłby poręczny także dla zainteresowanych profesjonalnych historyków, którzy chcieliby się dowiedzieć, jaką problematyką metodologiczną czy ogólnie rzecz ujmując teoretyczną zajmują się badacze spoza Polski. Dzisiaj student, który stara się poszerzyć swoją świadomość metodologiczną wychodząc poza kilka przystępnie napisanych ostatnich książek Topolskiego musi na początku błądzić po omacku. Wiem co piszę, bo przez to przeszedłem, a erudycji nie odmawiają mi ani Jan Pomorski (choć sugeruje, że to efekt „Wiki i AI”), a tym bardziej Ewa Domańska, która jak sądzę jest świadoma ogromu mojego księgozbioru metodologiczno-teoretycznego.

Inną miarą braku moich kompetencji ma być brak publikacji z zakresu metodologii. Jest to zarzut nietrafny. Napisałem kilkanaście tekstów metodologicznych⁴, w tym jeden na zaproszenie Ewy Domańskiej o Haydenie White’cie (*Dlaczego Hayden White nie zrewolucjonizował historiografii?*), również kilkanaście innych z historii historiografii, w których uwypuklałem aspekty metodologiczne. A moja rozprawa habilitacyjna nosi podtytuł *Rozważania nad granicami poznania historycznego*, gdyż

⁴ Dla uproszczenia podam tylko tytuły (są dostępne na academia.org): *Miejsce i rola źródeł w psychohistorii*; *Archetyp i nieświadomość zbiorowa w poglądach Carla Gustawa Junga i ich znaczenie dla źródłoznawstwa*; *Tekst jako źródło archeologiczne sensu stricto*; *Historiografia między Scyllą hiperkrytycyzmu a Charybdą dyletantyzmu*; *Jak historyk potyka się o antropologię*; *O tym jak metodolog historii stara się zatuszować swoje potknięcia o antropologię historyczną*; *Archeologia i historia we wzajemnych relacjach i praktyce naukowej*; *O źródle jako realistycznym alibi historyka, czyli o wyobrażeniach metodologa historii na temat roli źródeł w pracy historyków*; *Metodolog historii o metodologii historii (tak jak ją rozumie)*; *O długim trwaniu pewnej teorii – idea trypartycji u ludów indoeuropejskich Georges’a Dumézila w świetle krytyki oraz polemika z Wiktorem Wernerem wokół jego Wprowadzenia do historii*.

pokazują w niej na konkretnym problemie badawczym ograniczenia poznawcze, których większość historyków nie chce zaakceptować.

Trzecim kierunkiem jest wytknięcie mi braku doświadczenia dydaktycznego w nauczaniu metodologii, gdy Autorzy je mają, nawet kilkudziesięcioletnie, jak w przypadku obojga Redaktorów (nawiasem mówiąc miałem z ówczesną mgr Domańską zajęcia z metodologii). Rzeczywiście sam go nie mam. Już w trakcie lektury WMH zastanawiało mnie, jak pogodzić doświadczenie dydaktyczne większości Autorów, z tym, co niektórzy z nich napisali. Jeżeli Pomorski przez ostatnie kilkadziesiąt lat nauczał, że metodologia historii jest subdyscypliną historii, to źle nauczał! Jeśli nauczał, że historiografia rozwija się zgodnie z Kuhnowskim modelem paradygmatycznego rozwoju wypracowanym na przykładzie fizyki i astronomii, to źle nauczał! Wprawdzie te słowa mogą być potraktowane przez czytelników jako impertynencja z mojej strony, ale po chwili zastanowienia – jak sądzę – ogarnie ich refleksja, że jeśli Sikorski ma choćby tylko w tych dwóch ważnych sprawach rację, to może impertynencją jest to, że Pomorski, mimo wytknięcia tej kwestii, jej jeszcze raz nie przemyślał, nie sprawdził w literaturze przedmiotu, tylko brnie dalej w tak oczywisty błąd. Te lata nauczania o metodologii jako subdyscyplinie niczego w kwestii rzeczywistej pozycji metodologii historii wśród nauk nie zmieniają – jedynie wprowadzają w błąd nauczanych. Nie chcę tego wątku rozwijać, ale zwracam uwagę, że i ten kij odwołujący się do dydaktyki, który oboje Redaktorzy podnoszą, ma dwa końce, bo jeśli podręcznik ma świadczyć o poziomie dydaktyki metodologii historii, to w mojej ocenie wystawia jej fatalne świadectwo.

Wszystko to, co napisałem wyżej można by pominąć jako argumentację zbędną. Moja odpowiedź powinna zacząć się od tego, że skoro Redaktorzy uważają recenzję za niekompetentną, to wystarczy tę niekompetencję wykazać. Jako niekompetentny uczestnik tej wymiany zdań stałbym przecież na straconych pozycjach w obliczu miazdzących argumentów merytorycznych badaczy kompetentnych. Oni zaś odwołując się do argumentów merytorycznych pokazałoby jak głęboko się w swojej krytyce myliłem. Przy okazji pokazałoby jak solidną nauką jest metodologia historii i na jakim poziomie merytorycznym jej luminarze potrafią prowadzić dyskusję. Na przykład, jeden z najpoważniejszych zarzutów, który stawiam w recenzji nie tylko podręcznikowi, lecz zarazem większości polskich metodologów, dotyczy wspomnianego błędnego pozycjonowania metodologii historii, gdyż nie jest ona subdyscypliną historii, ale całkowicie odrębną nauką. Ironicznie stwierdziłem, że „sami metodolodzy historii nie ustalili jeszcze, czym jest metodologia historii i czym się zajmują metodolodzy” (s. 519). Zarzutu tego nie popieram odniesieniem do żadnej literatury, bo jest to w filozofii nauki po prostu truizm – przecież twierdząc, że dwa i dwa to cztery nie będę podpierał się cytatem. Zatem w tej sprawie, gdyby Jan Pomorski chciał mnie skompromitować, to wykazałoby w merytorycznej replice, że racja jest po jego stronie. Pokazanie jak głęboko jest zakorzeniona i filozoficznie uzasadniona tradycja traktowania akurat tylko metodologii historii jako subdyscypliny nauki, której jest metodologią, i dlaczego metodologie innych nauk są zawsze odrębnymi dyscyplinami,

nie powinno sprawić trudności, jeśli tak właśnie jest. Jeżeli zaniegowanie przeze mnie przeniesienia Kuhnowskiego modelu rozwoju nauki na historię jest nieuzasadnione, to niech Pomorski wskaże takie publikacje (poza własnymi), w których ten model jest akceptowany lub poda argumentację ten pogląd popierającą. Krytykując omawiane ujęcie odesłałem do wypowiedzi samego Thomasa Kuhna, a z historyków do Georga Iggersa, którego autorytet Pomorski uznaje. Przyjęcie postawy „nie będę dyskutował” niczego nie ułatwia. Zamiast długich tyrad Pomorskiego o tym, jak to idea WMH została przez mnie niezrozumiana i jakie mogą być tego konsekwencje, wystarczyło rozprawić się z moimi argumentami krytykującymi jego rozumienie metodologii historii, a także proponowanych jej podziałów, paradygmatycznej koncepcji rozwoju historiografii, relacji metodologii do metodyki, jego nieznamość historii historiografii, etc. Wykazanie bezzasadności mojej krytyki jego koncepcji byłoby dla czytelników bardziej przekonujące, niż jej ignorowanie, nie mówiąc już o tym, że rozwiałoby ewentualne wątpliwości tych czytelników, do których moja argumentacja trafiła. Autor jednak rzeczowej polemiki unika. Zastanawiające, bo to najprostszy i najbardziej przekonujący sposób dowiedzenia swoich racji. Jej unikanie jest przyznaniem się do merytorycznej bezsilności, do braku niezbędnych argumentów. Jeżeli „zdyskredytowałem i zdeprecjonowałem środowisko polskich metodologów i ich naukowy dorobek” (s. 451) – jak twierdzi Piotr Witek, a robię to jego zdaniem nieumiejętnie – to cóż prostszego, jak to wykazać na przykładzie tej właśnie recenzji. Piotr Kowalewski Jahromi zarzuca mi, że krytykuję „stosowalność koncepcji paradygmatów Thomasa Kuhna dla badań humanistycznych.” (s. 468), co jest nieprawdą, gdyż w recenzji zaznaczam (s. 522), że pojęciem paradygmatu sam się posługuję, a krytyka skierowana jest w stronę wizji paradygmatycznego rozwoju (w sensie Kuhnowskim) historiografii. Autor w tej sprawie odsyła mnie do podręczników metodologii ogólnej (dla podszkolenia), a wystarczyłoby zacytowanie chociaż jednego takiego podręcznika. Naprawdę, bez ironii, byłbym ciekaw w którym podręczniku Kowalewski Jahromi znalazł uzasadnienie dla zastosowania koncepcji Kuhna do nauk humanistycznych. Przypomnę, że Kuhn sam wyłączył humanistykę z pola działania własnego modelu rozwoju nauki, w którym nauka to anglosaskie science, czyli nauki przyrodnicze i nic więcej.

Ewa Domańska, której koncepcję metodologii praktycznej w całości zaniegowałem jako wywarzanie otwartych drzwi, niech wykaże, że się w tych paru zdaniach myślę. I tak dalej, itd. Jeżeli jestem niekompetentny, a zatem moja argumentacja też jest chybiona, to nie zostaną po niej nawet strzępy. W nauce, żeby przypomnieć, tak się prowadzi dyskusję. Nie trzeba uciekać się do wymyślnych strategii, wystarczy merytoryczna siła argumentów. Jeżeli chce mi się wykazać brak kompetencji, to chyba właśnie w ten sposób. Dlaczego Redaktorzy z niego rezygnują, łatwo się domyślić.

Z niespodziewaną pomocą w sprawie statusu metodologii przyszedł mi obecny „profesor senior” polskiej metodologii historii Wojciech Wrzosek, który w ostatnio wydanym przedruku prac swoich i swojej żony dodał w formie appendixu jeden

tekst oryginalny pt. *Metodologia nauk historycznych a metahistoria*⁵. W tekście tym następująco napisał on ogólnie o metodologii: „metodologia odnosi się do nauki lub jej konkretnych dziedzin, dyscyplin naukowych. W **rezultacie podtrzymuję opinię Kazimierza Ajdukiewicza**: [i tu następuje dłuższy cytat z Ajdukiewicza, który pominię] «**Metodologia nauk jest nauką, która za przedmiot swych badań ma naukę lub może raczej – poszczególne nauki**. Jest więc metodologia, w pewnym sensie, nauką wtórną, spoglądającą jak gdyby z wyższego piętra na inne nauki»⁶. Czy wypowiedź Wrzoska również świadczy o skrajnej niekompetencji?

W recenzji skupiłem się wyłącznie na rozdziałach bezpośrednio odnoszących się do metodologii. Zwracałem uwagę na fakt, że szeroki zakres problematyki związanej z historią, często pod byle pretekstem związanym z samą nazwą „historia”, jest włączany przez metodologów do problematyki metodologicznej, chociaż nie ma z nią nic wspólnego oraz, że WMH nie jest od tego wolny (s. 505 i n.). Upatruję w tym niebezpieczeństwo rozpląnięcia się problematyki metodologicznej w morzu innych zagadnień związanych z historią. Ponownie w sukurs przychodzi W. Wrzosek, który zauważa podobne zjawisko: „Pod mianem studia metodologiczne znajdujemy w szacownym piśmie historycznym [zapewne *Historyka* – D.S.] mydło i powidło, przy czym jeśli metodologię reprezentuje mydło, to dominuje powidło. Wszystko i bodaj cokolwiek, jakkolwiek związane z historią”⁷.

Błędne usytuowanie metodologii historii ma poważne konsekwencje dla zrozumienia szerszego kontekstu zagadnień teoretycznych związanych z historią jako nauką. Uwidacznia się to w wypowiedzi Domańskiej odnośnie do uwagi Skibińskiego, iż „metodologia nie zajmuje się przedmiotem badań historycznych” (s. 429), a w konsekwencji nie może być częścią historii. Autorka na to odpowiada następująco:

Materiałem badawczym są dla metodologa zarówno teksty historiograficzne (narracja historiograficzna jako efekt pracy historyka), jak i materiały wizualne i gry komputerowe (Piotr Witek), strony internetowe (Wiktor Werner) czy muzea historyczne (Anna Ziębińska-Witek). Jak najbardziej metodologia zajmuje się też przedmiotem badań historycznych snując refleksję na temat ontologii przeszłości (Krzysztof Zamorski), statusu ontologicznego pozostałości po przeszłości (Ewa Domańska), a także prowadząc badania dotyczące samych historyków i ich dzieł oraz instytucji badawczych (Rafał Stobiecki). W polskich badaniach, co warto pamiętać, metodologia historii jest silnie związana z historią historiografii, a także z dydaktyką historii (s. 429).

Otóż nie wszystko to, co Domańska wymienia może być przedmiotem zainteresowania metodologa historii. Strony internetowe, jak i materiały wizualne tak, o ile zawierają treści naukowe odnoszące się w ogóle do badań historycznych na

⁵ WRZOSEK 2024

⁶ WRZOSEK 2024, s. 232 (podkr. D.S.).

⁷ WRZOSEK 2024, s. 232, przyp. 399.

poziomie naukowym, pozostałe już nie. Gry komputerowe nie, nawet jeśli scenariusze oparte są na naukowych pracach historycznych. Nie znam gry komputerowej, która miałaby walory pracy naukowej w zakresie badań historycznych. Muzea tak, gdy dotyczy to np. scenariuszy wystaw, które odzwierciedlają stojące za nimi badania historyczne, np. Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, ale oddziaływanie tej wystawy na społeczeństwo, na edukację młodzieży i na wiele jeszcze innych sfer współczesnej kultury już nie. Tym się zajmują socjologowie, kulturoznawcy, antropologowie kultury etc. Historia jako nauka nie ma narzędzi do badania współczesnej kultury i nie jest to jej celem. Dydaktycy będą badać ów wpływ dydaktyczny swoimi metodologiami, antropologowie kultury zaś swoimi. Bardzo dziwi potraktowanie przez Domańską książki Krzysztofa Zamorskiego (*Dziwna rzeczywistość: wprowadzenie do ontologii historii*, Kraków 2008) jako zajmującą się przedmiotem badań historycznych, skoro jej autor zajmuje się w niej niemal wyłącznie kwestiami filozoficznego umiejscowienia historii, a przede wszystkim sposobu rozumienia jej ontologii oraz metodologicznych konsekwencji tego faktu. Historia historiografii jest oczywiście historiografią, ale może i powinna wykorzystywać analizy metodologiczne. Oba aspekty niekiedy znajdziemy w jednym tekście jednego autora, niemniej perspektywa historyczna i perspektywa metodologiczna są różnymi perspektywami w historii historiografii.

Sądzę, aczkolwiek jest to wyłącznie mój domysł, że utrzymywanie przez polskie środowisko metodologiczne ewidentnie błędnego poglądu, że metodologia historii jest subdyscypliną historii jest wzmacniane przesłankami pragmatycznymi. Prawdopodobnie jest to rezultat obaw, że decydenci ustalający program studiów na każdym wydziale czy w instytucie historycznym, mając w ręku argument, że metodologia historii jest osobną nauką mogą ją pod tym pretekstem usuwać z programów (i pewnie z tego powodu pojawia się u Domańskiej niespodziewany wątek o walce o „wpływy i zajęcia”). Niemniej jednak, te przesłanki nie mogą wpływać na poważny dyskurs o metodologii historii ani nie mogą być w tak zniekształconej postaci przedstawiane w podręczniku. Zresztą te obawy są płonne, bo przecież niemal w każdej instytucji akademickiej uczącej historii znajduje się katedra grupująca dydaktyków historii, a nie jest to subdyscyplina historii tylko nauka samodzielna nawet jeśli jest uprawiana przez naukowców, którzy jednocześnie są historykami-praktykami. Z tego powodu nie usuwa się dydaktyków z uniwersyteckich instytutów historycznych. Docenia się ich przydatność dla kierunków przygotowujących nauczycieli⁸. Jeśli metodologia historii będzie uznawana za niezbędny element wykształcenia historyka, a powinna!, to będzie wykładana. Jeśli zaś studenci nie będą odczuwać, że odnoszą z niej korzyści dla własnego rozwoju, to rzeczywiście może być usuwana (i to z poparciem studentów i pracowników!) na rzecz przedmiotów uznawanych za bardziej użyteczne. Ale to będzie zależało także od sposobu jej nauczania przez

⁸ Dyskusje wokół statusu vide MATERNICKI et al. 1993, s. 12–21.

samych metodologów. Mizerne pod względem merytorycznym i dydaktycznym WMH nie daje niestety nadziei na wyposażenie studentów w niezbędny podręcznik.

Ewa Domańska (z powołaniem na s. 516 mojej recenzji) zarzuca mi, że nie widzę „potrzeby wspierania samodzielnego statusu metodologii historii (i wspierania metodologii historii jako takiej jako istotnego elementu w kształceniu nowych generacji historyków)” (s. 430). Zarzut jest wprost komiczny, nie tylko ze względu na to, co napisałem w recenzji, jak i na to o czym piszę wyżej, lecz ze względu na niemal cały mój dorobek w zakresie mediewistyki, który dowodzi mego wyczulenia na problematykę metodologiczną. Kto bardziej optuje za „samodzielnym statusem metodologii historii” – ja, konstatając truizm o jej samodzielnym statusie jako odrębnej nauki czy Redaktorzy upierając się (bo brakuje tu właściwego słowa), iż metodologia jest subdyscypliną historii?

Po pierwsze metodologia ma samodzielny status jako nauka bez względu na moje czy czyjekolwiek widzimisię, bo historia zajmuje się czym innym i metodologia historii zajmuje się czymś innym. Po drugie, jak Domańskiej wiadomo, metodologią historii zajmuję się od czasów studenckich. Czy Autorka sądzi, że przez te kilkadziesiąt lat skrycie zbierałem siły i tailem prawdziwe intencje moich zainteresowań po to, by teraz, kiedy środowisko metodologów zdobyło się w końcu na podręcznik, próbować przy tej okazji przebić metodologię osinowym kołkiem, a metodologom po prostu zająć za skórę? Miałbym latami czytywać się w literaturze filozoficznej i metodologicznej, żeby w głębi duszy metodologię nienawidzić, gardzić nią, lekceważyć i dopiero teraz się z tym ujawnić? Przecież to niedorzeczne! Tę sprzeczność dostrzega P. Kowalewski Jahromi pisząc: „Jeżeli cała metodologia historii i teoria historiografii nie ma zdaniem źródłoznawców z Poznania żadnego sensu, to właściwie po co marnować czas na zapoznanie się z nią i pisanie zjadliwych krytyk? To również wydaje mi się bez sensu” (s. 466). Kowalewski Jahromi, jak i pozostali Autorzy, nie dopuszczają myśli, że może istnieć racjonalny powód, który skłonił mnie do zabrania głosu w dyskusji nad WMH. Może należy go upatrywać gdzie indziej, niż w obszernym zestawie przypisywanych mi przez Autorów odpowiedzi niecnym motywów i najniższych z niskich pobudek, których nie będę wyliczał. Jeśli ktoś od lat czymś się zajmuje, o coś się spiera, to chyba przede wszystkim dlatego, że na tym czymś mu zależy, że widzi w tym istotną wartość.

Moje głosy w sprawie metodologii historii, a zwłaszcza te krytyczne wypowiedziane i publikowane przy różnych okazjach, świadczą właśnie o tym, że dostrzegam znaczenie refleksji metodologicznej u historyków w polepszeniu jakości samych badań. Czy nie takiego uwrażliwionego na metodologię historyka metodolodzy chcą „wychować”? Muszę zatem dostrzegać w refleksji metodologicznej jakąś ważną dla historyka wartość. Po co miałbym się nią w przeciwnym razie zajmować? Na złość metodologom, jak można wnioskować ze stawianych przez Autorów diagnoz? Przecież większość historyków i studentów przyjmuje wobec metodologii postawę całkowitej bierności i obojętności. Czasami jakiś przejaw irytacji spowodowanej wypowiedziami metodologów zostanie wyartykułowany w wąskim kręgu.

Ich przewaga nade mną (i podobnymi do mnie), z punktu widzenia metodologów polega na tym, że nie wypowiadają się publicznie, nawet jeśli mają o metodologii czy o sposobie jej uprawiania przez niektórych metodologów, niedobre zdanie, więc metodolodzy mogą ich lekceważyć. Ja zaś się wypowiadam i stanowią z tego tylko powodu problem. Prawdą jest, że wiele poglądów wyrażanych przez metodologów kontestuję, ponieważ uważam, choć mogę być przecież w błędzie, że się w wielu sprawach mylą czy też stawiają błędne diagnozy. Jednak metodolodzy mogą na gruncie wymiany merytorycznych argumentów te zarzuty odpiierać, inne akceptować, bądź pod ich wpływem uprzednie stanowisko tylko modyfikować. Wszystko to jednak nie jest wymierzone w metodologię historii, ale co najwyżej w poglądy o niej i poglądy o badaniach historycznych wyrażane z metodologicznego punktu widzenia. To, że się nie zgadzam z takim czy innym uprawianiem metodologii przez tego, czy owego metodologa nie znaczy, że atakuję metodologię, a wszyscy Autorzy odpowiedzi z grubsza taką stawiają diagnozę. Jeżeli ktoś krytykuje moje poglądy związane z mediewistyką nie traktuję tego jako ataku na mediewistykę, ani na siebie osobiście, a jedynie jako dyskusję nad moimi poglądami. Autorzy odpowiedzi, prześwietlający polemiki, które toczyłem ja i Skibiński, jakoś nie zauważyli, że ostre polemiki toczymy również między sobą, co nie przeszkadza nam utrzymywać bardzo dobrych relacji naukowych i osobistych. To, co w nauce pojawia się nowego wyłania się ze sporów, bo jakże inaczej? Czasami te spory są nierozstrzygalne, ale pozwalają zarysować różne punkty widzenia.

Recenzję napisałem dlatego, że sposób potraktowania metodologii w WMH jest dla mnie trudny do zaakceptowania. Jeżeli bowiem ten podręcznik ma odzwierciedlać (i chyba odzwierciedla) sposób nauczania metodologii, to ciągle będę miał do czynienia z bardzo dobrymi studentami, którzy po kursie wstępu do badań historycznych (na UAM to mała metodologia) oraz metodologii historii nie mają pojęcia o podstawowych pojęciach metodologicznych jak: źródło (jako problem metodologiczny), fakt historyczny, prawda historyczna, wyjaśnianie, metody wnioskowania w historiografii, rola wartościowania i problem obiektywności poznania, ograniczając się do najważniejszych. Co gorsza, student niezadowolony z prowadzonych zajęć z metodologii, a w różnych ośrodkach akademickich różnie bywa pod względem kompetentnej obsady tego rodzaju zajęć, nie będzie miał w tym podręczniku dobrego przewodnika dla własnych poszukiwań, o ile w ogóle zdąży zauważyć korzyści z zajmowania się metodologią.

Przemawia przeze mnie doświadczenie osobiste, bo gdy jako student słuchałem wykładu z metodologii historii, to wykładowca (nie Ewa Domańska!) zrobił wszystko by udowodnić dwie rzeczy. Po pierwsze, że metodologia jest nieciekawa i nieprzydatna historykowi, po drugie, że jest tak trudna, że tylko ów wykładowca (i paru jego kolegów) jest w stanie ją pojąć. Na szczęście miałem też kilka godzin ćwiczeń z dr. Gwidonem Zalejko, który pokazał mi i innym dlaczego refleksja metodologiczna jest historykowi potrzebna. Niestety bardzo szybko od nauki odszedł, zanim odszedł na dobre.

Rozumiem rozczarowanie grona autorskiego i pewnie większości polskiego środowiska metodologicznego ukazaniem się kilku recenzji krytycznych i bardzo krytycznych. Rozumiem to, bo byłem obecny na promocji WMH w Poznaniu w grudniu 2022 r. i widziałem tę autentyczną dumę z osiągnięcia. Ale szanowni Redaktorzy i większość Autorów, zrozumcie, że mnie też jest przykro, że rozczarowaliście, jak widzę, również pozostałych recenzentów. Może to rozczarowanie podziela większość czytelników WMH i ono jest powodem, że nie pojawiły się, jak dotąd, recenzje pozytywne.

Jan Pomorski krzyczącym boldem stwierdza: „**Bez trenowania młodych adeptów Klio w teorii, nie obronimy naukowego statusu historii w XXI wieku**” (s. 417). Wezwanie zupełnie niepotrzebne, bo o naukowym statusie historii decydują sami historycy, ustanawiając standardy prowadzenia badań i prowadząc same badania. Tak było od samego początku historiografii jako nauki, a główną cechą historyzmu było uznanie, że badania historyczne powinny być prowadzone według reguł wypracowanych przez historyków, a nie narzucane z zewnątrz.

Jan Pomorski twierdzi, że postmodernizm skończył się dwie dekady temu. Załóżmy na moment, że tak jest. Ale pamiętam z czasów gdy byłem jeszcze studentem (a Pomorski powinien pamiętać jeszcze lepiej) pod jakimi sztandarami odnowienia historii występowali teoretycy historii, w tym i wielu metodologów historii, którzy przekonywali do jedynej słusznej drogi rozwoju historiografii i humanistyki w ogóle. Jak naśmiewano się z historyków otwarcie przeciwstawiających się temu postmodernistycznemu projektowi, traktując ich jako złogi odchodzącej w niepamięć historiografii. I co z tych postmodernistycznych roszczeń dziś w historiografii zostało? A jeśli wykonamy krótki eksperyment myślowy i wyobrazimy sobie, że większość ówczesnych historyków by się jednak na postmodernizm przekwalifikowała (uprawianie historii według tego projektu jest znacznie łatwiejsze, a poza tym polemiki są z góry bezsensowne, bo każdy ma rację – upraszczam świadomie), to gdzie bylibyśmy z historiografią dzisiaj, skoro z dzisiejszej perspektywy postmodernizm jest już *passé*? Cała współczesna historiografia byłaby *passé*. Dzisiaj dokonywalibyśmy jej odnowy. I znowu na czele tego pochodu zapewne chcieliby stanąć metodolodzy.

PODRĘCZNIK/NIE PODRĘCZNIK

Wspólną częścią większości odpowiedzi jest rzekome niezrozumienie przeze mnie intencji recenzowanego podręcznika.

Ewa Domańska pisze: „książka nie prezentuje i nie miała z założenia prezentować całościowej, normatywnej, systematycznej i uniwersalnej wykładni, czym jest metodologia historii i związane z nią zagadnienia (jakby chciał Profesor Sikorski, s. 508).” (s. 426). Ja natomiast napisałem tylko tyle: „Nie znajdujemy w nim systematycznego wykładu metodologii historii” (s. 548), nie domagałem się ani

całościowej, ani normatywnej, tym bardziej uniwersalnej wykładni, bo tej ostatniej być nie może. Jednakże od podręcznika oczekuje się, że będzie przedstawiał najważniejsze zagadnienia związane z problemem, do którego jest podręcznikiem w sposób uporządkowany, systematyczny, a tego nie znajduję. Sama Autorka przyznaje, że istnieją różne pojęcia metodologii historii, zatem dłaczego tego zagadnienia nie omówiono? Przyznaje również, że nawet w łonie Redaktorów, w tekście wstępnym, był problem z ustaleniem czym jest metodologia, na co w recenzji zwracałem uwagę (s. 519). Przyznaje również, że „Przedstawione rozumienia są zatem efektem żmudnie wypracowywanego kompromisu, co może w efekcie powodować pewne nieściśłości i niedoskonałości w prezentowaniu treści” (s. 426). No właśnie! A wystarczyło nie silić się na ustalenie jednego stanowiska, tym bardziej, że zdolność Jana Pomorskiego do zmian opinii w tej sprawie jest znaczna, nie mówiąc już o wewnętrznych sprzecznościach, na co zwracałem uwagę w recenzji (s. 514 i n.), a co potwierdza jego odpowiedź, w której dał kolejną (!), najnowszą swoją wykładnię podziału metodologii historii (s. 406 i n.).

Prześledźmy zresztą ewolucję podziałów metodologii według Pomorskiego. We wstępie do WMH (napisanym wspólnie z Ewą Domańską) napisał:

Istnieją też różne rodzaje metodologii historii, wśród których w zależności od podejścia do praktyki badawczej historyka można wyróżnić: 1) ogólną metodologię historii będącą dyscyplinarnym przedłużeniem ogólnej metodologii nauk, 2) empiryczną metodologię historii, 3) metodologię stosowaną historii oraz 4) metodologię praktyczną” (WMH, s. 10).

W rozdziale pierwszym („Przedmiot metodologii historii, jej zakres i struktura”), na s. 28 mamy jeden podział metodologii, na następnej inny, a na s. 30 „struktura metodologii historii” prezentowana jest zupełnie inaczej w porównaniu do poprzednich. W odpowiedzi na recenzje Pomorski poucza mnie i innych recenzentów, że mamy trzy nurty metodologii: „warsztatową metodologię historii” (s. 406); „filozoficzną metodologię historii” (s. 407) oraz „metodologię stosowaną”, na użytek WMH nazwaną „empiryczną metodologią historii” (s. 407). To jest wersja najnowsza. Pomorski chce sprawić wrażenie, że „metodologia stosowana” to termin powszechnie akceptowany, ale Ewa Domańska słusznie w innym miejscu dodaje, że jest to „określenie Jana Pomorskiego” (s. 359). Stwierdza, że pouczam metodologów, „czym jest metodologia historii, jak się ją powinno rozumieć i jakie jest jej miejsce w ramach badań i studiów historycznych” (s. 420). Tak, jestem tym faktem nieco zażenowany i zasmucony jednocześnie. Jeżeli taki chaos pojęciowy w kwestii kluczowej prezentuje czołowy polski metodolog, to jak to świadczy o poziomie świadomości metodologicznej metodologa historii?

Domańską oburza, że „żaden z recenzentów nie przytacza zaznaczonego we „Wstępie” do *Wprowadzenia do metodologii historii* faktu, że treść i struktura książki przez wiele miesięcy była przedmiotem środowiskowej dyskusji prowadzonej zarówno w gronie członków Komisji Teorii i Historii Historiografii oraz Metodologii

Historii, Komitetu Nauk Historycznych PAN, w ramach działań której powstał podręcznik, jak konsultacji ze specjalistami od dydaktyki historii i historykami” (s. 422). Ależ wspominam o tym w dwóch miejscach (s. 519 i 530). Niemniej powoływanie się przez Domańską (podobnie jak przez Kowalewskiego Jahromi s. 465) na ten organ brzmi zabawnie, bo przecież na czele tego grona stoi Ewa Domańska, a w jego składzie jest grubo ponad połowa zespołu autorskiego. Ta argumentacja przypomina wyciąganie się z bagna barona Münchhausena za włosy.

Jan Pomorski twierdzi, iż nie przyjąłem do wiadomości, że „intencjonalnie adresatami naszego podręcznika byli i są studenci historii i kierunków pokrewnych (a także doktoranci), a nie ukształtowani już, w pełni profesjonalni badacze przeszłości” (s. 401), że to rezultat kuriozalnego jak na profesora historii „nieodróżniania akademickiej wiedzy specjalistycznej od podręcznikowej” (s. 401). Żadnemu czytelnikowi, który zacznie lekturę WMH od pierwszego rozdziału autorstwa Pomorskiego nie przyjdzie do głowy, że ten podręcznik jest adresowany do specjalistów, wręcz przeciwnie, może pomyśleć, że może nawet do licealistów, co sugeruje obrona przez Autora retoryka. W recenzji konsekwentnie (podobnie jak pozostali recenzenci) analizuję WMH jako dzieło przeznaczone dla studentów i doktorantów, ponieważ wielokrotnie odnoszę się do jego przydatności dydaktycznej i wytykam braki, które dostrzegam w nim jako podręczniku, a nie monografii naukowej z zakresu metodologii. Być może Pomorski jest po prostu zaskoczony faktem, że przeanalizowałem podręcznik ze skrupulatnością, której on (i inni Autorzy) nie musiał zakładać u studentów i dlatego pisał swoje teksty bez wystarczającej staranności, a tu niespodziewanie znalazł się czytelnik uważny i skrupulatny. Ale taka jest rola recenzenta. Jeśli to zadanie nie zostało wykonane należycie na etapie recenzji wewnętrznych, przed drukiem, to jako recenzent mam obowiązek wskazywać na słabości i błędy, o ile recenzja ma być z mojej strony uczciwa, a nie „środowiskowa”.

Warto zwrócić uwagę w odpowiedzi Pomorskiego na fragment wręcz kuriozalny: jego zdaniem WMH „uczy studentów przede wszystkim tego, jak być dobrym metodologiem historii, a nie tego, jak być dobrym historykiem.” (s. 410). Zatem naiwni byli ci, którzy myśleli, że metodologia ma polepszyć badania prowadzone przez historyków. Okazuje się, że zajęcia z metodologii (i WMH) mają reprodukować metodologów! Te słowa są z punktu widzenia obaw wyrażanych przez oboje Redaktorów względem pozycji metodologii w kształceniu historyków bardziej szkodliwe niż wszystkie recenzje razem wzięte, bo – o ile nie mamy tu do czynienia z przejęciem – Pomorski ujawnia prawdziwy motyw umocnienia pozycji przedmiotów metodologicznych na studiach historycznych, czyli wzmocnienie samej metodologii, a nie jakości badań historycznych. Decydenci dopiero teraz mogą otrzymać argument do rąk pozwalający im ograniczyć ten zespół zajęć, bo instytucje kształcące historyków nie są zainteresowane kształceniem metodologów historii, o ile to nie ma mieć związku z kształceniem historyków.

Piotr Kowalewski Jahromi traktuje moje uwagi dotyczące dydaktycznej przydatności podręcznika jako wyraz mojej „tęsknoty za podręcznikiem rozumianym

dogmatycznie – takim, który przekazuje wiedzę biernie odbierającym ją studentom” (s. 464). Twierdzi, że Redaktorzy chcieli odejść od tej „feudalnej” koncepcji na rzecz dialogicznych rozdziałów. Ale z dalszej wypowiedzi wynika, że „dialogiczność” (piszę w cudzysłowie, bo nie wiem, co ma to słowo w tym kontekście oznaczać) była przewidziana dla Autorów, a nie czytelników. W jaki sposób polifoniczność tekstów ma uchronić przed biernym odbiorem treści przez czytelników? Więc mamy polifonię autorskich głosów (w podobnym tonie rzecz ujmuje Pomorski, s. 402), ale gdzie tu korzyść dla studenta i uwolnienie go od „feudalnego” podręcznika? Nie kwestionuję, przecież to widać, że Autorzy mieli wolność ujęcia każdego problemu i kształtowania pisanych rozdziałów wedle własnych koncepcji. Krytykuję natomiast niektóre z tych wyborów i sposób ujęcia wielu zagadnień.

W kwestii chaosu pojęciowego Piotr Kowalewski Jahromi słusznie pyta: „Czy łatwo byłoby stworzyć podręcznik, w którym źródłoznawcy z różnych środowisk przyjęliby jedną definicję «źródła»?” (s. 465). Wedle mojego osądu jest to niemożliwe, ale od takiego ewentualnego podręcznika oczekiwałbym, że najważniejsze koncepcje – w świetle stanu badań, w którym funkcjonują różne rozumienia źródła – zostaną rzeczowo omówione i przedstawione, bez względu na poglądy w tej mierze autora takiego tekstu. Spodziewałbym się od takiego podręcznika przekazania stanu wiedzy w takim zakresie, jaki jest niezbędny dla zrozumienia samego problemu. Tego samego rodzaju oczekiwania wyrażałem wobec WMH, wskazując np., że brakuje omówienia różnych sposobów rozumienia czym jest metodologia historii. W WMH nie dość, że forsowana jest jedna koncepcja, to przemilczane są inne. Muszę zaznaczyć, że nie postulowałem w recenzji ujednoczenia pojęć – co przypisuje mi Autor (s. 464 i n.), uważam wręcz, że jest to niewykonalne ze względu na ową „polifoniczność” WMH. Fakt, że nie udało się stworzyć planowanego słownika pojęć tylko to potwierdza. Jeśli czegokolwiek można wprost żądać od podręcznika wprowadzającego do danej nauki, a nie tylko oczekiwać, to właśnie wyjaśnienia pojęć właściwych dla tej nauki. I tylko tego się domagałem i domagam.

* * *

W drugiej części przejdę do dyskusji z uwagami szczegółowymi, które były podnoszone przez poszczególnych Autorów. Jest ona bardzo obszerna, ale wynika z charakteru samych zarzutów wobec mnie jako recenzenta oraz z konieczności odpowiedzenia na wszystkie merytoryczne repliki, by nie urazić któregoś z Autorów milczeniem, które mogłoby być odebrane jako lekceważenie. Pominę tekst Piotra Witka, gdyż nie jest związany z dyskusją nad WMH.

JAN POMORSKI

Autor w swoim dość obszernym tekście wypowiada się w wielu sprawach, ale konsekwentnie unika odniesienia się do konkretnych, niekiedy poważnych ze względu

na konsekwencje zarzutów, które zostały przeze mnie i innych recenzentów podniesione w związku z jego trzema tekstami opublikowanymi w WMH. O dwóch z nich wspominałem już wyżej.

Pomorski wypowiada się o moich poglądach, które miałem rzekomo w recenzji formułować, ale nie podaje cytatów czy choćby odnośników do stron. Robi tak w całym swoim tekście poza jednym przypadkiem, kiedy przyznaje się do błędu wytkniętego przez Przemysława Białka (s. 589). Żeby móc się ustosunkować do tych zarzutów, zwróciłem się z prośbą do Jana Pomorskiego (za pośrednictwem Redakcji „Przeglądu Historycznego”), aby do kilku wskazanych przeze mnie miejsc w jego tekście dodał cytaty z mojej recenzji albo wskazał stronę, ponieważ przypisywanych mi poglądów nie wygłaszałem ani nie ogłaszałem drukiem. Autor kategorycznie odmówił Redakcji. Nie dziwi mnie to. Taktyka przyjęta w polemice przez Pomorskiego jest obliczona na czytelnika, któremu do głowy nie przyjdzie, że w tekście naukowym profesor tytularny, może z premedytacją wprowadzać czytelnika w błąd (bo nie autora recenzji, który wie co napisał). Pomorski trafnie zakłada, że o ile nie ma odnośnika do strony, to czytelnik nie będzie wertował 35 stron druku mojej recenzji, żeby znaleźć potwierdzenie stawianego zarzutu, a tym bardziej jego zaprzeczenie. Czytelnik założy, że jest tak, jak twierdzi Pomorski, co temu ostatniemu daje szerokie pole do wykreowania wizerunku przeciwnika tak, żeby było najłatwiej z nim polemizować. Zdaję sobie sprawę, że stawiam bardzo poważny zarzut, ale mogę tę praktykę udowodnić następującym przykładem.

Pomorski broni zasadności przypisania Hannah Arendt do „Szkoły Frankfurckiej”, co słusznie wytknął mu jako błąd Przemysław Białek (s. 589). Broni, twierdząc, że „bez trudu jednak można wskazać pozycje, w których Arendt jest tak w świecie anglosaskim odbierana” (s. 405) i bezpośrednio odsyła w przypisie do dwóch książek, dwóch artykułów i jednego wykładu dostępnego w sieci, ale bez podania stron owych publikacji ani minuty wykładu, w którym takie stwierdzenie miałyby paść. Autor ponownie liczy (i w większości przypadków się nie przeliczy), że nikt nie zada sobie trudu, żeby tę informację sprawdzić, bo nawet jeśli do rzeczonych testów dotrze, to nie będzie ich stroną po stronie wertował, ani nie będzie całości wykładu przesłuchiwał. Czytelnik zarzucony taką liczbą rzekomych dowodów na prawdziwość słów Pomorskiego założy, że tak jest. W pierwszej z cytowanych książek „Szkoła Frankfurcka” wzmiankowana jest tylko na s. 21, w kontekście podobnego podejścia Arendt do kwestii odpowiedzialności kultury niemieckiej za holokaust⁹. W tomie zbiorowym cytowanym jako drugi¹⁰ wydawcy we wstępie tak widzą ów związek: „critical theorists in the Frankfurt School tradition largely either ignored Arendt or rejected her «non-dialectical» theorizing and her robust opposition to Marx and Hegel. Thus far, such differences seem to have prevented theoretical dialogue between the contributions of Arendt and Adorno” (s. 6). Zatem piszą coś

⁹ CANOVAN 1992.

¹⁰ RENSMANN, GANDESHA 2012.

zupełnie przeciwnego. W pierwszym artykule¹¹ jego autor wskazuje pewne podobieństwa między Arendt a Szkołą Frankfurcką, ale jak twierdzi, banałem jest podkreślanie wspólnych historycznych doświadczeń dla Arendt i reprezentantów Szkoły Frankfurckiej. W ostatnim artykule¹² nazwa „Szkoła Frankfurcka” nie pada ani razu, ani w inny, np. pośredni sposób jego autor nie sugeruje, by można było do niej przypisać Arendt. Podobnie nic takiego nie można wywnioskować z tekstu cytowanego wykładu. Tak się przedstawia zgodność tekstu Pomorskiego z faktami, kiedy można je zweryfikować.

Z niedowierzaniem przeczytałem rzekomą anegdotę odnoszącą się do wydania sprzed pół wieku, która dyskredytuje poziom intelektualny Brygidy Kürbis (abstrahując od jej prawdziwości, bo nie mam w tej sprawie wiedzy). Opowieść ma sprawić wrażenie, że poznańscy źródłoznawcy (do których mnie zalicza) są ulepieni z tej samej antymetodologicznej gliny, co ich Mistrzynie. Pomorski wtrąca do dyskusji osobę dawno nieżyjącą tylko po to, żeby móc zignorować wszystkie stawiane zarzuty i sprowadzić je do jednego zdania:

I to cały mój komentarz do dryfu kategorialnego Skibińskiego i Sikorskiego w kwestii rozumienia metodologii historii, teorii rozwijanych w metodologicznej szkole poznańskiej czy koncepcji paradygmatu historiograficznego (*vide* ich wypowiedzi na temat poglądów Topolskiego, Kmity, Kuhna, o autorach *Wprowadzenia do metodologii historii* już nie wspominając) (s. 408).

Pomorski stawia następującą diagnozę: **„W istocie bowiem to, z czym mamy do czynienia w „Przeglądzie Historycznym” w ramach dyskusji nad *Wprowadzeniem do metodologii historii* to nie spór metodologów z historykami (jak z pozoru może to wyglądać), ale nowa odsłona sporu pomiędzy „historykami klasycznymi” a „historykami nieklasycznymi”** (s. 410). Abstrahując od mętności wprowadzonego przez Wojciecha Wrzoska podziału na klasycznych i nieklasycznych historyków i jego użyteczności, diagnoza ta jest błędna. Przede wszystkim dlatego, że – założywszy, iż zostaną potraktowani jako historyk klasyczny – po „drugiej stronie” sporu wokół WMH nie mam historyków nieklasycznych tylko metodologów. Żeby nie wikłać więcej nazwisk, Jan Pomorski i Ewa Domańska (dla przykładu) nie są ani historykami nieklasycznymi, ani klasycznymi, ani jakimkolwiek innymi; są metodologami historii, teoretykami historii czy kimkolwiek się samookreślą. Mogą opowiadać się za taką czy inną formą uprawiania badań historycznych, mogą mieć swoje preferencje, ale to nie czyni ich historykami.

Pomorski za przykład „historyka nieklasycznego” podaje Jacka Banaszkiewicza. Cytuje (s. 411) obszerny fragment wywiadu, w którym ten wypowiada się krytycznie w kwestii tzw. „prawdziwego historyka”, mającego być prefiguracją mnie jako historyka. Oczywiście Pomorski nie zna moich prac, więc nie wie, że

¹¹ VILLA 2020.

¹² SCHAAP 2001.

obaj z Banaszkiewiczem, wprawdzie nie we wszystkim się zgadzamy, ale w sprawie wszystkowiedzących historyków stoimy po tej samej stronie barykady i obaj zbieramy cięgi za krytykowanie tej postawy.

Na licznych spotkaniach promocyjnych WMH (i przy innych okazjach), w których uczestniczyłem osobiście bądź online przysłuchując się wyrażanym podczas tych spotkań opiniom o WMH, Jan Pomorski przywoływał z widoczną radością, podobnie jak w niniejszej swojej odpowiedzi (s. 414), zwrot zaczerpnięty z *Historyki* Droysena o „eunuchowatych obiektywistach”. Tym mianem Pomorski określa historyków, którzy mają inne poglądy niż Pomorski. Autor najwidoczniej korzysta z przykrywki jaką daje cytat z szanowanego teoretyka historiografii, by bezkarnie przypiąć przeciwnikom jakiś retorycznie nośny epitet. Niestety Pomorski dzieła Droysena nie zna i nie wie w jakim kontekście owe słowa padają. Co więcej, nawet nie wie, w którym dziele Droysena się one znajdują. W odnośniku w swoim tekście do owego cytatu wskazuje polską edycję *Zarysu Historyki*¹³, w którym tej frazy nie ma, bo jest tylko w *Historyce*. Nie wie też, że jeden z rozdziałów *Historyki* (o topice), w którym owo zdanie pada, został przetłumaczony na język polski. Kontekst jest następujący: Droysen odpowiada na sformułowany w 1820 r. przez Wilhelma Wachsmutha (1820, s. 125 i n.) postulat by historyk starał się być „wyzwolony z wszystkich więzów narodowości, ze wszystkich pokus i poglądów partii, stanu, ze wszelkiego uwikłania w wiarę, wolny od uprzedzeń i efektów z wyjątkiem umiłowania prawdy i cnoty”¹⁴. Na to odpowiada Droysen:

Dziękuję za taki eunuchowy obiektywizm. Ja chcę nie więcej, ale też nie mniej niż względną prawdę mojego punktu widzenia, jaki zdołałem osiągnąć dzięki mojej ojczyźnie, przekonaniom politycznym i religijnym oraz poważnym studiom. Nie ma to wiele wspólnego z owym dziełem dla wieczności, ale jest zdecydowanie jednostronne i ograniczone. [...] Spoglądając na przeszłe czasy z mego punktu widzenia, z perspektywy idei mego narodu i państwa, wznoszę się wysoko ponad własne Ja¹⁵.

Ideałem dla Droysena był historyk zaangażowany politycznie i piszący z politycznej potrzeby i na polityczne zapotrzebowanie, co udowodnił w kilkutomowej *Historii pruskiej polityki*. Z pewnością Pomorski nie chce promować takiej postawy przywołując Droysenowskie zdanie o eunuchowatych obiektywistach. Nie, Pomorski z takim traktowaniem historii z całym przekonaniem walczy. Ta pomyłka to rezultat jego nieznajomości historii historiografii, o której się już w recenzji wypowiadałem, a teraz Autor dostarcza kolejnego *exemplum*. Na myśl przychodzi *Rewizor* Gogola ze swoim zawołaniem: „Z czego się śmiejecie? Z samych siebie się śmiejecie!”

¹³ DROYSEN 2012.

¹⁴ tłum. za DROYSEN 2003, s. 121 i n.

¹⁵ DROYSEN 2003, s. 122.

Pomorski przypisuje Droysenowi intencję ujęcia treści *Zarysu Historyki* w 95 tezach jako nawiązanie do tradycji luteriańskiej i – zdaniem Pomorskiego – ma sugerować konieczność przeprowadzenia podobnej rewolucji historiograficznej. Autor nie wie, że tylko ostatnie wydanie *Zarysu* (1882) składa się z 95 paragrafów – wcześniejsze odpowiednio z 91 (1875), 79 (1868) i 77 (1858). Dzieła Droysena są wydane krytycznie i obszernie skomentowane. Komentatorzy jak i inni historycy zajmujący się Droysenem nie widzą związku z 95 tezami Lutra. To tylko kolejny twór wyobraźni Pomorskiego¹⁶.

Unikając polemiki w sprawach rzeczywiście przeze mnie podjętych Pomorski znajduje sobie inne pole dyskusji. Jest mu wygodniej, gdy sam owo pole wyznacza przypisując mi kilka poglądów, które pryncypialnie potępia, a ponieważ są one najczęściej rzeczywiście niemądre, to przychodzi mu to tym łatwiej. Pozostawiam jednak Pomorskiego sam na sam ze stworzonymi na potrzeby polemiki chochołami.

EWA DOMAŃSKA

Ewa Domańska rozpoznała w moim tekście wiele chwytów retorycznych, a wśród nich „dominuje metoda kwestionowania faktów bazowych” (s. 426). Autorka ma zapewne na myśli korygowanie zauważonych błędów, a to należy do obowiązku recenzenta i nie ma nic wspólnego z retoryką. Zatem jeśli przytacza moją opinię, z którą się nie zgadza, że „w podręczniku metodolodzy podejmują zagadnienia, które zdaniem recenzenta nie mają nic wspólnego z metodologią historii” (s. 428), to wystarczy pokazać, choćby na przywołanym przeze mnie przykładzie historii publicznej, że się mylę. Cóż prostszego? Autorka pisze, że twierdzą, iż metodolodzy „nie rozumieją stosowanych przez siebie pojęć”, ale ja tylko pisałem o bałaganie pojęciowym w WMH (s. 507) oraz o nie wyjaśnianiu wprowadzanych pojęć (s. 510). Nie twierdziłem, że metodolodzy „nie odróżniają metodologii od metodyki”, ale że w podręczniku nie zostało wyjaśnione, czym jedno różni się od drugiego (s. 516). Na końcu zarzut najcięższego kalibru, mianowicie, że użyłem argumentu *ad personam* twierdząc (i tak rzeczywiście jest), że „wyróżnienie metodologii stosowanej i metodologii praktycznej ma chyba wyłącznie zaspokoić ambicje obojga redaktorów” (s. 517). Tyle, że kwestionuję tu promowanie w podręczniku dwóch specyficznych pojęć (metodologii stosowanej i metodologii praktycznej), których twórcami są Redaktorzy, a poświęcenie aż całego rozdziału metodologii, która, zdaniem samej Ewy Domańskiej, jak dotąd została zrealizowana w jednej książce, do tego niehistorycznej, nie ma merytorycznego uzasadnienia – zatem musi chodzić o chęć rozpropagowania własnych pomysłów przez podręcznik. Przyznaję, że wtęć o ambicjach mogłem sobie darować, bo to tylko mój domysł, a nie fakt. Nie wykluczam przecież (i to bez ironii), że Ewa Domańska rzeczywiście wymyśliła przez siebie

¹⁶ O relacji *Zarysu Historyki* do *Historyki* Droysena, vide SIKORSKI 2016.

metodologię praktyczną uważa za rewolucyjne narzędzie warte upowszechnienia. Po części ma rację, bo jak napisałem, wedle tych zasad historycy pracują z powodzeniem przynajmniej od ponad dwóch stuleci, tylko Autorka tego nie wie, bo metodologicznie tych prac nie analizowała.

Pośród licznych, zasygnalizowanych przykładów „awersywnego charakteru” mojej recenzji ma być m.in. uwaga o tym, że w literaturze polecanej brakuje (poza nielicznymi wyjątkami) prac obcojęzycznych. Na to mogę odpowiedzieć tylko pytaniem: a jest inaczej? Domańska oponuje wskazując liczbę prac obcych, ale tłumaczonych na język polski. Ponadto ma to być świadomy zabieg promujący polskich naukowców. Moja uwaga dotyczyła prac obcojęzycznych, a nie polskich tłumaczeń. Promowanie polskich autorów też jest wątpliwe, bo przytoczone przez Domańską zestawienie (s. 429) wskazuje raczej – jeżeli Autorka odwołuje się do kategorii narodowości – na „promowanie” prac obcokrajowców. Wprawdzie dla celów dydaktycznych celowe jest preferowanie prac polskojęzycznych, ale równie ważne powinno być danie wskazówek studentom, którzy nie mają orientacji w obszernej literaturze obcojęzycznej (co właściwie w dzisiejszych warunkach sprowadza się do literatury anglojęzycznej), w których jeszcze pracach mogą zapoznać się z wybranym zagadnieniem. Tym bardziej, że wiele kluczowych problemów metodologicznych nie było poruszanych w literaturze polskojęzycznej.

Domańska protestuje: „nikt w książce nie twierdzi”, że traktowanie metodologii jako nauki empirycznej było wynalazkiem Topolskiego. Więc jak należy rozumieć następujący fragment z WMH: „W jednym z wywiadów Topolski wspomina opublikowane z Andrzejem Malewskim (1929–1963) *Studia z metodologii historii* (1960), które – skupiając się na analizach praktyki badawczej historyków – **stały się impulsem dla narodzin** empirycznej metodologii historii” (WMH, s. 11!, podkr. D.S.). Ponieważ z obu tych akuszerów „narodzin” Malewski stosunkowo szybko umarł, jako jedyny pozostał Topolski.

Zdaniem Domańskiej nawet moja uwaga „zgadzam się, ale dodałbym, że ...”, (s. 519) jest nie na miejscu. Widocznie z Autorami WMH trzeba się zgadzać nie inaczej jak co do joty. O posthumanizmie się nie wypowiadałem. Przyznaję, że w kwestii oceny jednej z książek – moim zdaniem polecanych studentom „po koleżeńsku” (chodzi o rozdział K. Zamorskiego i polecaną książkę J. Pomorskiego, s. 512) – się pomyliłem, ale zjawisko występuje. Co do drugiej, którą wskazałem dla przykładu, Autorka jej nie oprotestowała.

PIOTR KOWALEWSKI JAHROMI

Wprawdzie Autor twierdzi, że „słusznie wskazałem na niekonsekwencje terminologiczne w podręczniku oraz szereg innych nieścisłości.” (s. 464), ale ich nie wymienia. Pewnie zalicza je do tych przyczynkarskich, mniej ważnych.

Autor odniósł się do moich dwóch metafor (ptaki to historycy, a ornitolodzy to metodolodzy), lecz najwyraźniej ich nie zrozumiał zgodnie z moimi intencjami. Bywa tak z nowymi metaforami, ale winić mogę za to wyłącznie siebie. Chciałem podkreślić, że ptaki i ornitolodzy są ze sobą bardzo związani, jak historycy i metodolodzy, ale działają na dwóch odrębnych płaszczyznach: ci pierwsi poszukują wiedzy o przeszłości, drudzy analizują wytwory i czynności naukowe tych pierwszych. Nie chodzi o „błąd ignorancję jaką ptaki winny w stosunku do badaczy [metodologów – D.S.] żywić” (s. 466), bo jak podkreśliłem, ornitolodzy ptaki drażnią (można dodać, że i na odwrót), ale przede wszystkim o to, że historykom jest obojętne, co metodolodzy o nich myślą i jakie plany wobec nich mają. Robią co chcą bez oglądania się na metodologów, i jak ornitolodzy są całkowicie zależni od istnienia ptaków (bez tych ostatnich by ich nie było), tak metodolodzy historii od historyków gdyż bez historii jako nauki nie byłoby metodologii historii. Nie ma odwrotnej zależności. Ornitolodzy nie wpłyną na trwałe zachowania ptaków, chociaż te ciągle ewoluują. Gdy jedna para wprowadzi do swojego zachowania jakieś innowacje prowadzące do większego sukcesu lęgowego (np. więcej złożonych, jaj, więcej wychowanych młodych), to jej potomstwo dzięki temu stanie się liczniejsze, aż w końcu zdominuje stado, a potem gatunek. To wszystko stanie się bez udziału ornitologów. Oni mogą to opisywać, oceniać, ale nic więcej. Ja nie domagam się wygnania ornitologów/metodologów, ale chcę, żeby ci uświadomili sobie jaka jest ich rola w tym związku. Czegokolwiek sobie ornitolodzy nie pomyślą – powtórzę jak mantrę – ptaki robią i zrobią swoje. Ornitolodzy mogą wymyślić jak pomóc badanemu stadu osiągnąć większy sukces lęgowy i ochronić je przed drapieżnikami. Zatem przygotowują im specjalne bezpieczne miejsca lęgowe, a ptaki i tak będą robić co zechcą – albo uznają, że im to odpowiada, albo zabiegi ornitologów zignorują i będą zakładać gniazda jednak po swojemu. Kowalewski Jahromi pisze dalej: „Ptaki poradzą sobie w większości wypadków bez ornitologów, ale pozostaną jedynie z własnym pięknym śpiewem i bez refleksji nad ich rolą w ekosystemie (społeczeństwie)” (s. 466). Słusznie, tą refleksją zajmują się ornitolodzy. Ptaki są w o tyle innej sytuacji, niż relacja historyków z metodologami, że ornitolodzy nie mogą ptakom swoich przemyśleń zakomunikować. Metodolodzy mogą i czynią to nie tylko chętnie, ale niekiedy w sposób, który inni historycy traktują jako dość nachalny, bo odbierany jako pouczenie (zapewniam, że gdyby ornitolodzy mogli porozumiewać się z ptakami byłiby bardzo podobni pod tym względem). Zwróciłem w recenzji uwagę na fakt niewygodny dla wielu metodologów historii widzących ją, jako wiodącą w rozwoju badań historycznych. **Wszystkie nowości w badaniach historycznych, jakie pojawiły się od początku uprawiania historii jako nauki w jej współczesnym sensie, są dziełem wyłącznie historyków-praktyków, a nie metodologów historii, filozofów historii czy ich dziewiętnastowiecznych odpowiedników.** Czy metodolodzy mogą wskazać metodologa historii niebędącego zarazem historykiem-praktykiem, którego idee prowadzenia badań historycznych zostałyby podjęte przez historyków, którzy by je urzeczywistniali i propagowali? Moją uwagę, że istnieją wybitni

historycy, którzy nie wykazywali zainteresowania metodologią (s. 504) Ewa Domańska zbyła pytaniem dlaczego żadnego nie wymieniłem. Wydawało mi się to oczywiście, nie wymieniłem, bo są aż tak liczni¹⁷. Co więcej, prace wielu z nich mają wymiar metodologiczny przez nowości, które wprowadzają do badań, tyle że nie mają oni potrzeby artykułowania tego w sposób, w jaki czynią to metodolodzy. Zwracał na to uwagę Jerzy Kmita w przywołanym przeze mnie cytacie (s. 504). Pokazanie tego jest właśnie polem działalności dla metodologów! To mam na myśli, gdy wspominał, że ptaki – jak historycy – robią swoje – bez względu na ornitologów. A jak widać po postępie naszej wiedzy robią to na ogół rozumnie. Mniej trafne pomysły po prostu obumierają, jak słabiej przystosowane do życia ptaki, mało innowacyjni historycy mają mniej uczniów, niż ci bardziej innowacyjni.

Autor sensownie stwierdza: „wydaje mi się oczywiste, że dla rozwoju nauki konieczne jest łączenie ze sobą badań empirycznych i meta-refleksji teoretycznej” (s. 466), ale nie zauważa, że to połączenie istnieje od początku historiografii naukowej. Gdy Barthold Georg Niebuhr (zm. 1831) pisał przełomową *Historię Rzymu* zamieścił wprowadzenie, które dzisiaj określilibyśmy jako metodologiczne. Wyjaśniał, czym jego dzieło różni się od wcześniejszych i dlaczego. Podobnie uczynił Leopold Ranke w 1824 r. w przedmowie do pierwszego tomu *Geschichten der romanischen und germanischen Völker von 1494 bis 1514*. Przez cały wiek XIX refleksja teoretyczna nad badaniami historycznymi, która obejmowała szersze zagadnienia, niż tylko związane z własnymi badaniami, była dziełem wyłącznie historyków, głównie starożytników i mediewistów. Dzisiaj jest zupełnie odwrotnie, historycy nie podejmują się usystematyzowania własnej refleksji w postaci obszerniejszych ujęć całościowych. Ostatnim był Jerzy Topolski (zm. 1998), a w świecie Paul Veyne (zm. 2022), Richard John Evans (ur. 1947), Hans-Jürgen Goertz (ur. 1937). Historycy zawsze zastanawiali się nad metodologicznymi aspektami swojej działalności naukowej, nawet jeśli nie wiedzieli, że ich refleksja dotyczy kwestii metodologicznych.

Trafnie zauważa Kowalewski Jahromi, że gdzieś u głębokich podstaw wielu różnic metodologicznych stoi stosunek do filozoficznej kwestii realizmu i antyrealizmu. Także na to zwracałem uwagę omawiając tekst Wojciecha Piaska (s. 531). Jednak zaskakująco Autor stwierdza, „że obecnie w filozofii historii obserwujemy dość agresywną krytykę «antyrealizmu» połączoną z erystycznymi oskarżeniami pod adresem konkretnych badaczy oraz redakcji najważniejszych anglojęzycznych czasopism poświęconych filozofii historii” (s. 464). Zdaje się, że Autor bierze za agresję fakt, iż kilku badaczy w ogóle odważyło się uprawiać filozofię historii z punktu widzenia

¹⁷ Odchodząc od polskiego poletka, gdyż nie wymienieni przeze mnie wybitni historycy mogliby się poczuć słusznie urażeni, pozostaną przy wybitnych badaczach okresu karolińskiego z kręgu anglosaskiego: Rosamond McKitterick, Donald Bullough, Patrick Wormald, John J. Contreni, David Ganz, Michael M. Gorman, Janet L. Nelson, Thomas F. X. Noble, Richard E. Sullivan etc. Bez ich wkładu nasz ogląd okresu karolińskiego byłby znacząco inny.

realistów, a stwierdzenie przez nich (co łatwo sprawdzić), że redakcje wszystkich współczesnych czasopism zajmujących się filozofią historii są zdominowane przez antyrealistów jest z ich strony erystyką. Nie wspomnę, że Autor zgodnie z tradycją ostatnich dekad w polskiej metodologii historii każdy realizm określa mianem „naiwnego realizmu” – innego realizmu nie ma? Po absolwencji filozofii można by oczekiwać głębszej refleksji filozoficznej.

ANNA BRZEZIŃSKA

Anna Brzezińska słusznie wytyka mi, że „trudno, zachowując merytoryczny poziom dyskusji, odnieść się do zarzutu Dariusza Sikorskiego, który określa jeden z napisanych przeze mnie rozdziałów *Wprowadzenia* «doskonałym przykładem braku zrozumienia podstawowych zjawisk w dziejach historiografii» nie podając żadnego argumentu” (s. 514). Wyjaśnienie jest następujące: zmuszony skrócić pierwotny tekst recenzji usunąłem w całości obszerniejszy komentarz do innego rozdziału jej autorstwa pt. „Specyfika badań historycznych na tle innych dyscyplin naukowych” (WMH, s. 100–115), do którego było dołączone wyżej cytowane zdanie, a które w tekście ostatecznym przez pomyłkę zostało. Ale słowa padły i rzeczywiście Autorce należą się wyjaśnienia. Po pierwsze, tytuł tego rozdziału („Miejsce badań historycznych w obrębie kultury”) sugeruje jedno, a początkowa deklaracja, że „w dalszej części rozdziału przyjrzymy się, **w jaki sposób to racjonalizowanie przeszłości, nazwane z czasem badaniem historycznym, budowano na przestrzeni wieków**” (WMH, s. 376, podkr. D.S.), co innego. W efekcie otrzymaliśmy tekst, który miejscami stara się poprzez głównych przedstawicieli historiografii pokazać powiązania kulturowe ich samych, jak i ich dzieł z czasami, w których ci historycy żyli. W innych partiach raczej jest mowa o wewnętrznym rozwoju dziejopisarstwa. W obszernych fragmentach Autorka wspiera się na Krzysztofie Pomianie, ale nie odważyłbym się powiedzieć, że idzie za nim w swej wizji rozwoju historiografii. Raczej wyciąga fragmenty z Pomiana nieumiejętnie montując z nich własną wersję. Autorka powtarza za Pomianem tezę o tym, że w średniowieczu przeszłość była przedmiotem wiary, fraza – podobnie jak tytuł książki Pomiana – jest chwytliwa, ale jako uogólnienie historiografii średniowiecznej jest po prostu nieprawdziwa¹⁸. Początki historiografii naukowej w wersji przedstawionej przez Brzezińską są kompletnie wypaczone. Gdy Autorka pisze, że w czasach Rankego „pozbawione rozważań teoretyczno-historycznych badania przeszłości miały się koncentrować na faktach historycznych samych w sobie” (WMH, s. 384), to dowodzi, że piśmiennictwo teoretyczne tych czasów (łącznie z samym Leopoldem von Ranke) jest jej nieznanne, bo nigdy fakty nie były deklarowanym celem badań historycznych. Gdy stwierdza, że „główną słabością powyższych założeń było dziedziczone za filozofią naukowego pozytywizmu

¹⁸ KUJAWIŃSKI 2019.

przekonanie, że możliwe jest poznanie obiektywnej prawdy o wydarzeniach” (WMH, s. 384), to stwierdza nieprawdę, gdyż dążenie do prawdy obiektywnej (nie sięgając okresów wcześniejszych i ograniczając się tylko do historiografii naukowej) pojawiło się grubo przed pozytywizmem i było jedną z cech odróżniających powstającą naukę historyczną od innych zainteresowań dziejami. Nie będę kontynuował, bo stawiam Autorkę w niezręcznej sytuacji z powodu braku możliwości jej repliki, ale daję chociaż namiastkę tego, co powinno rzeczywiście się ukazać w mojej recenzji jako uzasadnienie negatywnej opinii.

Autorka „nie znalazła w załączonych do recenzji bibliografiach nawiązań do współczesnej literatury przedmiotu, a można byłoby tu wymienić choćby francuski interaktywny projekt E-manuel d’histoire (2020), czy niemiecki *Handbuch Methoden der Geschichtswissenschaft* z tego samego roku” (s. 513). Mój tekst odnosił się do WMH, a nie innych podręczników. Nie miałem zamiaru zastępować Autorów w ich obowiązkach przedstawienia innych podręczników metodologii historii. Wskazywałem, że tego rodzaju wskazówek bibliograficznych brakuje w WMH, i gdybym to ja napisał podręcznik z pewnością bym je nie tylko zamieścił w bibliografii, ale też najważniejsze z nich omówił. Po drugie, dlaczego miałbym polecać – do czego zachęca mnie A. Brzezińska – niemiecki *Handbuch*, który się jeszcze nie ukazał? Wprawdzie był zapowiadany od paru lat na stronie wydawnictwa Springer, ale ukaże się dopiero w 2026 r. Autorka widocznie po lekturze cytowanej przez siebie książki Pierre’a Bayarda *Jak rozmawiać o książkach, których się nie czytało*, poszła o krok dalej i potrafi wypowiadać się o książkach, które się jeszcze nie ukazały. Wprawdzie w drugim z polecanych dzieł (właściwy tytuł „*Initiation aux études historiques: Un manuel interactif en libre accès pour les Licences d’Histoire*”), francuskim wprowadzeniu do badań historycznych wielokrotnie pada termin *méthodologie*, ale w sensie metodyki historii, a épistemologie, w sensie naszej metodologii pojawia się rzadko, bo nie jest to książka o metodologii, ale o metodyce badań historycznych dla studentów studiów I stopnia.

TOMASZ FALKOWSKI

Autor twierdzi, że we fragmencie mojej recenzji odnoszącym się do jego tekstu, który omawiam dość obszernie (s. 525–527) nie rozpoznał własnego tekstu. Na szczęście na tyle dokładnie się mojemu tekstowi przyjrzał, że dostrzegł w nim coś znajomego, co pozwoliło mu zabrać głos. Autor szukając argumentów na moje domniemane *qui pro quo*, którego miałem się dopuścić na jego tekście, pogubił się i krytykowaną, a mnie przypisywaną metodę sam zastosował. Na przykład, twierdzi, że imputuję mu „możliwe całościowe” przedstawienie zagadnienia faktu historycznego (s. 523). W recenzji zaś stwierdzam coś przeciwnego, że „ani w jednym [rozdziale autorstwa Falkowskiego], ani w drugim [rozdziale autorstwa Zamorskiego] nie znajdziemy możliwie całościowego, na miarę ujęcia podręcznikowego, przedstawienia

problemu” (s. 525). Falkowski upomina mnie, że w tym rozdziale „zajmował się [...] pojęciem wydarzenia historycznego, a nie faktu historycznego. Wyraźnie to zaznaczam w jednym z podrozdziałów” (s. 523). Autor sam sobie zaprzecza, gdyż w wyróżnionej dla studentów partii tekstu napisał jako „Wniosek 2”, że „**Każde wydarzenie historyczne**, jeżeli historykom udało się potwierdzić jego zajście, **jest faktem historycznym**. Ale nie każdy fakt historyczny, nie każda stwierdzona przez historyków faktyczność, z konieczności jest wydarzeniem” (WMH, s. 279, podkr. D.S.). Mamy zatem sytuację taką, że jedno pojęcie jest szersze (fakt) i w całości zawiera drugie (wydarzenie). Przecież wedle słów Falkowskiego nie ma wydarzeń, które nie są faktami! Czyli Autor zajmuje się jednak faktami – tą ich częścią, którą określa się mianem wydarzeń. Całkowicie się z nim zgadzam i odzwierciedla to praktykę historyków, którzy podobnie tę sprawę widzą. Jednak w dalszych partiach rozdziału, jak i w odpowiedzi, Autor swój własny „Wniosek 2” ignoruje i oba pojęcia sobie przeciwstawia.

W odpowiedzi na recenzję Falkowski przedstawia to przeciwstawienie „faktów” i „wydarzeń” jeszcze bardziej dobitnie niż w WMH, gdzie twierdził, iż „znaczeniowe zrównanie obu pojęć [tj. fakt i wydarzenie – D.S.] będzie wiodącym na manowce uproszczeniem” (WMH, s. 278). Teraz Autor pisze: „Twierdzenie, że historycy zdecydowali o nierozdzielaniu pojęć faktu i wydarzenia, stoi w sprzeczności nie tylko z olbrzymim dorobkiem historiograficznym z XX w.” (s. 525). I tu kolejne *qui pro quo* – pisałem „o **kategorialnym** rozdzieleniu faktów i wydarzeń”, nie przeczyłem (byłoby to absurdalne), że **są to dwa różne pojęcia**. Pisałem w recenzji, że historycy „zdecydowali inaczej i we wszystkich głównych językach historiografii traktują «fakt» i «wydarzenie» jako synonimy bądź wyrazy bliskoznaczne, a w każdym razie wydarzenie jest pojęciem węższym wobec faktu” (s. 526). Oczywiście ta decyzja przejawia się zarówno w praktyce, jak i rozważaniach teoretycznych¹⁹. Już w recenzji postulowałem, by Autor propagowane kategoryczne rozdzielenia faktów od wydarzeń poparł odniesieniem do literatury przedmiotu (s. 526), ale się nie doczekałem, chociaż byłby to najprostszy sposób dowiedzenia swoich racji.

Nie chodzi o to, że oba pojęcia są tożsame, a taki pogląd Falkowski mi przypisuje, ale o to że w znacznym zakresie się pokrywają – w pewnych sytuacjach mówi się o tym samym jako o fakcie, a w innych o wydarzeniu. To drugie następuje zwykle wtedy, kiedy chce się podkreślić rozpięcie jakiegoś faktu w czasie. Jak to ujęła Arlette Farge – przywołując autorytet uznawany przez Falkowskiego: „W historii wydarzenie ma czas trwania, który wykracza daleko poza zwykłą czasowość faktów,

¹⁹ We współczesnej filozofii historii pojawiają się próby rozdzielenia znaczeniowego faktów od wydarzeń, ale albo są wewnątrznie sprzeczne (np. STANFORD 1994, s. 174 i n.) albo są pokłosiem debat filozoficznych w kwestii relacji faktów, wydarzeń i stanów rzeczy, które nie przyniosły w filozofii uzgodnienia stanowisk w tej sprawie. Jednak one wszystkie są bez związku z praktyką historiograficzną.

które je tworzą”²⁰. Na przykład ścięcie Ludwika XVI jako wydarzenie składa się z wielu faktów cząstkowych, ale ono samo jest jednym z faktów tworzących wydarzenie zwane Rewolucją Francuską.

Pozostając ciągle w kręgu autorytetów przywołanych przez Falkowskiego, F. Furet we wstępie do tomu swoich studiów pod znaczącym tytułem *L’atelier de l’histoire* następująco się wyraził o relacji faktów do wydarzeń:

C’est pourquoi le trait principal de ce type d’histoire que j’appelle, pour l’opposer à celle dite „des Annales”, celle de la tradition, n’est pas d’être „événementiel”, ni même étroitement politique; **car par définition toute étude du passé reconstitue des „événements”, et il n’y a pas de critère logique qui permette de réserver la dignité des événements à certaines catégories de faits plutôt qu’à d’autres**²¹.

Dalsza argumentacja Falkowskiego wygląda następująco: „Annaliści” ze swoim programem „historii antywydarzeniowej” nie chcieli przecież prowadzić badań, które nie są oparte na faktach. Jego zdaniem „Prace Blocha, Braudela, Jacques’a Le Goffa czy Pierre’a Chaunu są pełne faktów, ale odnoszą się one nie tyle do wydarzeń, ile do innych typów zjawisk (długotrwałych procesów, systemów, przemian cyklicznych itd.)” (s. 525)²². Skomentować mogę to następująco: sięgając do prac wymienionych historyków, napisanych przed 1970 r. zauważymy coś innego – są pełne odniesień do wydarzeń, i to pod mianem wydarzeń (événement)! W końcu swojej argumentacji Falkowski zauważa, że tzw. „powroty do wydarzenia” w historiografii (jako przykład podał Pierre’a Norę i François Dosse) celowo odwołują się do wydarzenia, a nie faktów, bo gdyby [historycy francuscy – D.S.] nie rozdzielali faktów i wydarzeń, to „byłoby w świetle rozwoju historiografii (bynajmniej nie tylko francuskiej) niezrozumiałe i absurdalne, ponieważ sugerowałoby, że przed tym powrotem i renesansem [wydarzenia – D.S.] historycy zajmowali się... no właśnie czym?” (s. 526). Rzecz kończy się apelem do Redakcji PH o dbałość o przekazywanie na łamach czasopisma „rzetelnych informacji z poziomu prostej faktografii” (s. 526). Zatem pozostaniemy przy faktografii.

Z wywodów Falkowskiego wynika, że historycy z kręgu „Annales” w pewnym momencie odwrócili się od wydarzeń jako przedmiotu ich zainteresowania, ale pozostali przy faktach. Dopiero na początku lat siedemdziesiątych XX w. miano do nich powrócić. I tu kolejne *qui pro quo*. Autorowi zapewne wiadomo, że antywydarzeniowość Annalistów nie polegała na wyrugowaniu pojęcia wydarzenie a pozostawieniu

²⁰ En histoire, l’événement a une durée qui va bien au-delà de la simple temporalité des faits qui le constituent, FARGE 2002, s. 67.

²¹ Kluczowy fragment w tł. na język polski: „Ponieważ z definicji każde badanie przeszłości rekonstruuje „wydarzenia”, więc **nie ma logicznego kryterium, które pozwoliłoby zastrzec wyższą pozycję wydarzeń bardziej dla pewnych kategorii faktów, niż dla innych**”, FURET 1982, s. 18 in.

²² Nie wiadomo dlaczego (jako analogia?) Autor odwołuje się do tzw. historii kontrfaktycznej, ale to nie ma nic wspólnego z kwestią fakt-wydarzenie, dlatego ten wątek pominię.

faktu, ale na tym, by historycy nie przywiązywali wagi do wydarzeń jako znaczących elementów dziejów, nawet tych uważanych za najbardziej znaczące, gdyż wydarzenia są jak piana na rozfalowanym oceanie dziejów (używając Braudelowskiej metafory), a to te długie fale miały być głównym przedmiotem zainteresowań. „Wydarzenie” w kręgu „Annalistów” zniknęło jako znaczniki ważniejszych etapów rozwoju dziejowego, zniknęło jako element organizujący narrację, ale wydarzenia nie zniknęły z historycznej terminologii (także u „Annalistów”), bo się nim bez przerwy posługiwali obok faktów. Dopiero po doświadczeniach 1968 r. zdano sobie sprawę w tym środowisku, że także samo wydarzenie jest nośne, zwłaszcza dla historii najnowszej, kiedy długie trendy są jeszcze nierozpoznawalne. Temu był poświęcony artykuł Pierre’a Nory, odnoszący się do bieżących wypadków politycznych – wydarzenie okazało się warte szczególnej uwagi, ale w inny sposób niż robili to tradycyjni historycy²³. Stąd „powrót wydarzenia”. Trudno uwierzyć, żeby Autor nie był tego świadomy, więc nie wiem dlaczego ucieka się do takich zniekształceń.

W sprawie znaczenia cytowanego fragmentu z książki Blocha Autor twierdzi, że jego celem nie było – jak mu rzekomo przypisuję – „zrozumieć w nim postawiony [przez Blocha] problem”, ale znalazł się on w WMH „tylko po to, by zilustrować **rozdzielenie i relację między wydarzeniem a faktem**, które przedstawiam i które są tam obecne” (s. 523, podkr. D.S.). I tu kolejne *qui pro quo*. Wprowadzając wątek o Blochu napisałem: „Autor posłużył się fragmentem z Marka Blocha, mającym poprzeć jego opinię w sprawie **odrębności pojęć «wydarzenie» i «fakt»**” (s. 526), czyli dokładnie tak, jak również teraz twierdzi Autor. Różnimy się tym, że zdaniem Falkowskiego Bloch takie rozdzielenie wprowadza, moim, że nie, a ponadto cel podanego przez Blocha przykładu był moim zdaniem zupełnie inny niż przypisywany mu przez Autora.

Falkowski stwierdza: „Bloch pisze w sposób jasny i jednoznaczny” (s. 523). Jak się okazuje nie dla niego. Nie będę powtarzał całego cytatu, który zamieścił w odpowiedzi, ale przytoczę fragment kluczowy: „gdyby [historycy] **wśród dokumentów przeszłości dostrzegali nie tylko relacje, a wśród faktów – nie tylko wydarzenia**, z pewnością nie skazywaliby nas tak pochopnie na **wiecznie pośrednią obserwację**”²⁴. Wydawałoby się, że Autor jako badacz doświadczony, jeśli dokonuje analizy tekstu Blocha, będzie opierał się na tekście oryginalnym, a nie polskim tłumaczeniu. Podkreślonym wyżej fragmentom odpowiadają podkreślone francuskie wersje oryginalne „**dans l’ordre documentaire, obsédés par le récit autant que dans l’ordre des faits par l’événement**, sans doute les aurait-on vus moins prompts à nous rejeter vers une **observation éternellement dépendante**”²⁵. Oba podkreślone fragmenty

²³ Pierre Nora opublikował artykuł pod znamienym tytułem „*L’événement monstre*”, przedrukowany pod tytułem „*Le retour de l’événement*” (NORA 1972, 1974), który przywraca „wydarzenie” właśnie w tym sensie.

²⁴ BLOCH 2009, s. 70.

²⁵ BLOCH 2020.

w polskim tłumaczeniu nie mają odpowiednika w tekście francuskim. Jeśli by się pokusić o korektę tłumaczenia to powinno ono brzmieć następująco: „[historycy] na poziomie dokumentów omotani [są] przez narrację, tak na poziomie faktów przez wydarzenie”²⁶. Bloch nie mówi o obserwacji pośredniej (bo wówczas używa zawsze *indirect*), ale obserwacji zależnej, *dépendant*, a z kontekstu wynika, że zależnej od wspomnianych dokumentów (źródeł pisanych), które mówią o faktach. Kilka linijek wyżej pada w tekście Blocha wyjaśnienie, czemu ów przykład ma służyć: „Specjaliści od metody historycznej rozumieli na ogół jako poznanie pośrednie tylko takie poznanie, które dociera do umysłu historyka poprzez inne umysłowości”²⁷. Te inne „umysłowości”, to autorzy źródeł narracyjnych.

Bloch ma zdaniem Falkowskiego zarzucać niektórym teoretykom obserwację pośrednią, a przyczyną tego ma być wykorzystywanie jako źródeł wyłącznie narracyjnych źródeł pisanych oraz „**dostrzeganie wśród faktów jedynie wydarzeń** (a więc, co jest logicznym wnioskiem, niedostrzeganie wśród faktów **innych zjawisk poza wydarzeniami**)” (s. 524). Jednak Bloch nie zarzuca innym poglądu, że wśród faktów są tylko wydarzenia, bo byłby to zarzut absurdalny. Bloch zarzuca im, że opierają się wyłącznie na wydarzeniach, które są opisane w źródłach, natomiast owi historycy powinni wzorem archeologów – rekonstruujących wydarzenia i fakty na drodze pośredniego wnioskowania z badanych pozostałości materialnych – wydedukować pewne fakty czy wydarzenia z innych dostępnych im faktów, mimo że nie ma o nich mowy w źródłach pisanych.

Na wytknięty przeze mnie fakt, że Autor przytaczając definicję wydarzenia przypisuje ją Haydenowi White’owi, a nie Michaelowi Oakeshottowi – a obaj mają różne w tej sprawie poglądy (s. 527) – Falkowski odpowiada z wprost zdumiewającą dezynwolturą: „Czy definicja odnaleziona w wywodzie White’a jest poglądem jego samego czy kogoś innego – w ogóle się tym w tekście nie zajmuję” (s. 524). Czy to znaczy, że możemy poglądy przypisywać uczonym wedle naszego widzimisię?²⁸

W recenzji zakwestionowałem niektóre ze znaczeń, które Autor przypisał książce Georges’a Duby o bitwie pod Bouvines w zakresie roli wydarzeń w badaniach historycznych, stwierdzając że: „książka Duby’ego nie miała w intencji swego autora wnieść czegoś nowego do rozumienia faktu historycznego, miała za to być wkładem w dyskusję, jak badać fakty historyczne” (s. 527) (tu użyłem terminu fakt jako synonimu dla wydarzenia, a nie dla podkreślenia zróżnicowania). Ostatni akapit w tekście Falkowskiego poświęcony jest tej właśnie książce

²⁶ Dla pewności sprawdziłem jak ów fragment rozumieli tłumacze na niemiecki, angielski oraz włoski, a ich wersje są zgodne z moim rozumieniem, a odbiegają od tego za czym idzie Falkowski. Tekst Blocha potwierdza praktykę historyków: wydarzenia są rodzajem faktów.

²⁷ Bloch 2009, s. 70.

²⁸ Najpełniej poglądy o relacji faktu i wydarzenia zostały przez White’a wyrażone w WHITE 1995.

i zgadzam się z zajęтым tam stanowiskiem. Widocznie Autor chciał moją argumentację wzmocnić.

JAKUB MUCHOWSKI

Zwróciłem uwagę, że Jakub Muchowski myli się pisząc, że „Metodą badań historycznych w przekonaniu Collingwooda jest odtworzenie (ang. *re-enactment*)” (s. 525), gdyż angielskiemu archeologowi chodziło o inny cel badań historycznych. Na to Muchowski stwierdza, że „oczywiście, odtworzenie nie jest w pełni wyartykułowaną koncepcją, a duża jej część jest rekonstruowana w oparciu o rękopisy Collingwooda, co pozostawia większe pole dla wątpliwości interpretacyjnych” (s. 531). Rękopisy, o których Autor mówi są już dawno wydane i nie w nich leży problem z interpretacją tej idei Collingwooda²⁹. Sama idea *re-enactment* wprawdzie budzi ciągle dyskusje, ale z pewnością nigdy nie była pomyślana jako metoda badań historycznych³⁰. Muchowski twierdzi, że „Liczni komentatorzy jego [Collingwooda] spuścizny dzielą się na dwa obozy: tych, którzy interpretują odtwarzanie metodologicznie, i tych, którzy interpretują je niemethodologicznie³¹. Skoro istnieje cały obóz interpretatorów ujmujących odtworzenie jako metodę, uznaję, że mówienie o niej w ten sposób jest uprawnione” (s. 531). Margit Hurup Nielsen³² mówi o traktowaniu „*re-enactment*” jako Collingwoodowskiej metodologii, i jako ideę bez związku metodologicznego. Interpretacja *re-enactment* jako metodologii historii nie ma nic wspólnego z *re-enactment* jako metodą badawczą. Autor utożsamiał metodologię z metodą, a tak robią – zdaniem metodologów – wyłącznie niedouczeni metodologicznie historycy.

Muchowski stwierdza że „nazywanie prac innych historyków i historyczek «cudacznymi», «kpiną», «bezsensem» narusza godność uczestników wspólnej przecież pracy nad budowaniem wiedzy historycznej” (s. 532). Nie używam dwóch pierwszych określeń wobec prac innych historyków, tylko wobec sposobu stosowania przez Muchowskiego feminatywów, uznając, że w sumie mogą być powodem do kpin z nich samych. Sądziłem, że po prostu Autor tego nie dostrzegła. Muchowski teraz twierdzi, że stosując w jednym szeregu feminatywy i maskulatywy jako rzeczowniki w liczbie mnogiej, np. „historyczki i archiwiści” w sensie „historycy i historyczki oraz archiwistki i archiwiści” – czego sensowność zakwestionowałem – stosuje się do zaleceń Rady Języka Polskiego (s. 531). W tych zaleceniach tej sprawy się nie porusza. Ponoć podobna praktyka ma być stosowana również w języku angielskim i daje przykład: *historian and her craft*, z czego wynika, idąc tropem Muchowskiego, że należy to rozumieć jako „historyk i jej rzemiosło”. Tylko, że właściwie

²⁹ COLLINGWOOD 1995.

³⁰ DRAY 1999, s. 52 i n.

³¹ NIELSEN 1981.

³² NIELSEN 1981, s. 3.

tłumaczenie to „historyczka i jej rzemiosło” (jak np. książka historyczki Romila Thapar o niej samej pod tytułem *The Historian and Her Craft*), gdyż zaimek *her* odnosi się do poprzedzającego rzeczownika osobowego i on nadaje mu „płeć” – taka właściwość języka angielskiego. Natomiast naprzemienne użycie feminatywów z maskulatywami jest na gruncie języka polskiego całkowicie bezsensowne, bo logika naszego języka będzie sugerowała, że chodzi o intencjonalne rozróżnienie według płci, a nie, że zostały użyte w sensie ogólnym. Zatem poprawne będzie „historycy i historyczki wespół z archiwistkami i archiwistami”, ale z pewnością jest niepoprawnie – propagowanie form naprzemiennych – „historycy i archiwistki”, bo oba sformułowania mają na gruncie języka polskiego różne znaczenia.

Autor zarzuca mi, że krytykując jego dwa sformułowania „[Annaliści i] Fernand Braudel (1902–1985) – **by uniknąć błędu historyzmu, sięgną po strukturalizm**” oraz „zapropozowana przez historyzm i jego zwolenniczk[i!] formuła badań **nie potrafiła ustalić swojego przedmiotu**” (WMH, s. 91) nie wskazałem, co jest krytykowane tylko ograniczyłem się do stwierdzenia, że ich „bezsensowności nie trzeba tłumaczyć” (s. 531). Muchowski ma rację. Popełniłem błąd, sądząc, że bezsensowność jest oczywista, bo jak widać nawet po upomnieniu nie jest. Powyższe dwa zakwestionowane przeze mnie zwroty były tylko przykładem – jak zaznaczyłem w recenzji (s. 525) – szerszego problemu Muchowskiego z historią historiografii, a z historyzmem w szczególności³³. Bo na jakiej podstawie twierdzi on, że „zapropozowana przez historyzm [...] formuła badań nie potrafiła ustalić swojego przedmiotu?” To czym się zajmowali historycy, np. w XIX w.? Ale zaraz Autor wyjaśnia czym się zajmowali pisząc, że owa formuła badań historyzmu „zakładała, że dzieje są dziełem ludzi i dlatego też tworzona przez nich rzeczywistość jest bezpośrednio zrozumiała. Na świat ten składają się pojedyncze, niedeterminowane prawami (jak to ma miejsce w naukach przyrodniczych) wydarzenia, które w opracowaniu historycznym podlegają jedynie opisowi” (WMH, s. 92). Po pierwsze, historyzm nie zakładał, że rzeczywistość jest bezpośrednio zrozumiała, bo gdyby tak było nie trzeba by wypracować metod umożliwiających jej poznanie. Po drugie, historyzm nie ogranicza badań do opisu wydarzeń – to był pierwszy krok, którego celem było wyjaśnianie wydarzeń i dziejów jako takich³⁴. Niezrozumienie historyzmu widoczne jest również, kiedy Autor pisze: „Dla historyzmu podstawową metodą była krytyka wewnętrzna i zewnętrzna źródła” (s. 529), gdyż historyzm nie przesądzał jakimi metodami miał się historyk posługiwać, byle by spełniały one podstawowy warunek – zapewniały prawdziwe i obiektywne poznanie naukowe. Celem historyzmu było zakreślenie warunków dla naukowego uprawiania historii. Ponadto, krytyka wewnętrzna i zewnętrzna to nie metody badawcze, lecz etapy postępowania badawczego. Obie krytyki przeprowadza się różnymi metodami

³³ Problem nie dotyczy tylko Muchowskiego, gdyż w recenzji wskazałem (s. 524), że Pomorski z głównej postaci historyzmu Diltheya zrobił jego głównego konkurenta.

³⁴ Z ogromu literatury charakteryzującej historyzm REILL 1975; IGGERS 1995; OEXLE 1996.

w zależności od źródła. Doprawdy szkoda, że w rozdziale poświęconym autonomii badań historycznych jego Autor wyprowadza w wyodrębnionym podrozdziale (*Koniec autonomii historii*) kompletnie błędną konkluzję, że w latach siedemdziesiątych XX w. historycy porzucają ideę autonomii historii (WMH, s. 93)³⁵. Jest to również nieprawdą, gdyż jest to problem nie tylko nieustannie dyskutowany, ale przede wszystkim zdecydowana większość historyków w swojej praktyce badawczej tej autonomiczności dowodzi.

EWA SOLSKA

Autorka napisała: „**W nauce spotkamy się z trzema rodzajami wnioskowania: dedukcyjnego, indukcyjnego i abdukcyjnego**” (WMH, s. 50, przyp. 1, podkr. D.S.). Mój komentarz do tego był następujący: „Ograniczenie typów wnioskowań stosowanych w nauce wyłącznie do indukcji, dedukcji i abdukcji jest błędne, mimo różnych koncepcji ich typologii”. Zdaniem Autorki przypisuję jej niewypowiedziane przez nią poglądy, gdyż – jak się broni – „odnośny przypis 1 (s. 50) dotyczy podstawowych form wnioskowania zestawionych dla uwydatnienia różnic między nimi i **nigdzie nie jest napisane, że są to jedyne typy wnioskowań**” (s. 499) i dalej wylicza inne rodzaje. Jednak w WMH nie ma tego, co teraz dodała Autorka, że są to tylko „podstawowych form wnioskowania”. Uściślenie pojawia się dopiero w odpowiedzi. Autorka może i miała taką intencję, ale napisała co napisała i do tego się odniosłem.

Ewa Solska gwałtownie protestuje („nigdzie nie napisałam”) wobec mojej uwagi, że „Wnioskowanie indukcyjne nadal jest w nauce stosowane, a Karl Popper indukcji nie obalił, tylko przypisywał jej mniejsze znaczenie” (s. 511). Rzeczywiście Autorka nie napisała tego wprost, ale taki wniosek wynika wprost z jej następującego wywodu:

Faktycznie nauki empiryczne zaczęły skutecznie wyjaśniać zjawiska dzięki indukcji, dlatego przez długi czas **uznawana była** za metodę naukową. **Do momentu, kiedy Karl R. Popper**, w odpowiedzi na tzw. problem indukcji [...] **zapropozował model hipotetyczno-dedukcyjny**, zgodnie z którym wnioski dedukowane z przyjętych wcześniej hipotez sprawdza się potem w doświadczeniach (WMH, s. 50, podkr. D.S.).

Jeśli zatem indukcja „długi czas **uznawana była** za metodę naukową. Do momentu...” – zwracam uwagę na czas przeszły – to po tym momencie już nie – taki jest logiczny wniosek. Być może zachodzi przypadek jak wyżej, że Autorka nie potrafi jasno wyrażać swoich myśli i w piśmie wychodzi co innego.

³⁵ Jako ostatnich obrońców wskazuje Ewę Domańską (trafnie) i Chielą van den Akkera, nietrafnie, bo ten mówi o autonomii narracji historycznej wobec przeszłości, a nie autonomii badań historycznych.

Autorka słusznie stwierdza, że w mojej recenzji cytata z jej rozdziału („Abdukcja nie jest «metodą oceny hipotez w naukach historycznych takich jak paleontologia czy geologia, w których kwadraty zmiennych są odwrotnie proporcjonalne»”, s. 511) jest poważnie zniekształcony o pogrubiony wtręt (jej zdaniem zmanipulowany). Jest to zdanie nonsensowne w sposób oczywisty, wskutek zduplikowania tego fragmentu z wiersza powyżej, gdzie jest jego miejsce. Za tę pomyłkę w tekście nie jestem odpowiedzialny co potwierdziła Redakcja. Doszło do niej w trakcie nanoszenia mojej ostatniej korekty. Kontrola tego była poza moją możliwością. Niemniej jednak Solska napisała nonsensowne zdanie, które oprotestowałem i powtórzę w wersji jaka powinna być w recenzji: Abdukcja nie jest „**metodą oceny hipotez w naukach historycznych takich jak paleontologia czy geologia**”, tylko tworzy wyjaśnienia hipotetyczne we wszystkich naukach.

Jedną z moich uwag wobec tekstu E. Solskiej sformułowałem następująco: „Z innych co bardziej rażących elukubracji autorki można wskazać twierdzenie, że myślenie naukowe nie ogranicza się tylko do testowania hipotez; nawet Popper – do którego to stwierdzenie nawiązuje – nie poszedł tak daleko”. W moim tekście zakradła się pomyłka: powinno być „**myślenie naukowe ogranicza się**”, bo taka jest wymowa fragmentu tekstu E. Solskiej, który kwestionuję. Partykuła „nie” wypacza sens mojej uwagi. Autorka tej pomyłki też nie dostrzegła, bo dalej argumentuje tak, jakby jej nie było, a powinna była mi przyklasnąć (np. „czego Sikorski się czepia właśnie tak uważam, że myślenie naukowe ogranicza się tylko do testowania hipotez!”). Solska i tę wersję – zgodną z jej tekstem – co jest dość zabawne, oprotestowuje („nigdzie nie napisałam” s. 500). Teraz już mogę być pewny, że za tym co napisała stoi to, co myślała. Jednak podobnie jak w poprzednim przypadku, to jest wniosek wynikający z jej tekstu, gdy Solska, wyróżniając trzy cechy myślenia naukowego (pozostałe to ponoć wrodzona cecha umysłu a drugie to racjonalne myślenie), napisała: „**myślenie naukowe to myślenie krytyczne, które polega na testowaniu hipotez** wyjaśniających zdarzenia...” (WMH, s. 50 i n., podkr. D.S.). Wynika z tego, że Autorka utożsamia myślenie naukowe z testowaniem hipotez, czyli odwołuje się wyłącznie do koncepcji Poppera – pomijam już trafność następującego dalej opisu samej metody. Dlatego w recenzji chciałem zwrócić uwagę, że jej twierdzenie, iż „myślenie naukowe ogranicza się tylko do testowania hipotez” jest błędne.

Kolejny kazus wymaga przytoczenia obszerniejszego cytatu z tekstu autorstwa Ewy Solskiej w takim skrócie, jaki sama w odpowiedzi wyparowała:

Tutaj pojawia się zasada samoograniczania względem pytań, **które, choć racjonalne, przekraczają możliwości wyjaśniania w naukach empirycznych.** [...] Taką granicę stanowią pytania typu: „Dlaczego woda jest przejrzysta?” czy „Dlaczego jest promieniowanie elektromagnetyczne?” W nauce opartej na metodzie matematyczno-empirycznej **nie zadaje się takich pytań** (s. 501; WMH, s. 52 i n., podkr. D.S.).

Sens wywodu jest prosty: są pytania, które mamy prawo stawiać, na które nauka na obecnym etapie nie może udzielić odpowiedzi. Od siebie bym dodał, że nawet nie można zaprojektować eksperymentów, który mógłby ewentualne hipotezy zweryfikować. Autorka dała przykład takich pytań, z których pierwsze, o przezroczystości wody jest nietrafny, i tylko ten (z obu) wytknąłem jako błędny. Autorka w odpowiedzi przyznała jednak, że wiemy dlaczego woda jest do pewnego stopnia przezroczysta. Dlaczego zatem wraca do tego?

Autorka napisała: „Jako przykład [wyjaśniania nomologiczno-dedukcyjnego – D.S.] można podać **matematyczne prawo odwrotnych kwadratów, które Edmond Halley wydedukował z praw ruchu planet Keplera**, aby wyjaśnić proporcjonalność siły przyciągania Słońca do odwrotności kwadratu odległości krążących wokół niego planet” (WMH, s. 50, przyp. 1, podkr. D.S.). Opatrzyłem to krótkim komentarzem: „Edmond Halley nie wydedukował tego, co autorka nazywa prawem odwrotnych kwadratów, a opisał matematycznym wzorem ruch planet, w których kwadraty zmiennych są odwrotnie proporcjonalne” (s. 511).

W wersji przedstawionej w odpowiedzi wynalazcą ma być już nie Halley a Bouillaud (s. 501), ale pomijam to. Dowodów na poparcie mojego stanowiska Autorka sama dostarcza. Na swoją obronę Solska cytuje Stevena Weinberga, którego tekst oddam tu po polsku (dla kontroli jak ten tekst rozumiem, bo rzecz idzie o właściwe jego zrozumienie).

Zwykle mówi się, że prawa Newtona wyjaśniają prawa Keplera. Jednak z historycznego punktu widzenia prawo grawitacji Newtona zostało wyprowadzone z praw ruchu planet Keplera. Edmond Halley, Christopher Wren i Robert Hooke wykorzystali ustaloną przez Keplera zależność [stałą dla każdej planety – D.S.] między kwadratami okresów [obiegu całej orbity – D.S.] i sześcianami średnic (przyjmując orbity jako okręgi), aby wydedukować prawo grawitacji jako odwrotność do kwadratu [odległości], a następnie Newton rozszerzył ten argument na orbity eliptyczne³⁶.

W WMH Solska twierdzi, że Halley wydedukował z praw ruchu planet Keplera matematyczne prawo odwrotnych kwadratów. Weinberg mówi zaś o tym, że Halley i inni wykorzystali prawo Keplera do wywnioskowania, że siła grawitacji jest odwrotna do kwadratu odległości. Weinberg nie mówi, że Halley (i inni) wydedukowali „matematyczne prawo odwrotnych kwadratów” z praw Keplera. To Solska postawiła sprawę na głowie.

Ewa Solska napisała: „W skali mikro (fizyki cząstek) granice te [tj. nauki – D.S.] wyznaczają CERN-owski zderzacz hadronów i japoński detektor promieniowania elektromagnetycznego Super-Kamiokande.” W moim komentarzu abstrahowałem już od tego, że oba urządzenia żadnej granicy nie wyznaczają, ale zwróciłem uwagę,

³⁶ WEINBERG 2001, tłumacząc z dodatkami dla lepszego zrozumienia treści, które przez Weinberga są zakładane u czytelnika na podstawie wcześniejszych partii tekstu.

że Super-Kamiokande nie wykrywa promieniowania elektromagnetycznego, ale neutrina, które są cząstkami. Autorka w odpowiedzi stwierdza: „Super Kamiokande jest wodnym **detektorem promieniowania Czerenkowa**, które jest promieniowaniem elektromagnetycznym; **jego detekcja służy do detekcji neutrin**” (s. 501, podkr. D.S.). Pytanie podstawowe, po co by zbudowano kilometr pod ziemią dwa zbiorniki na 50 tys. ton (łącznie) krystalicznie czystej wody, jeśli to urządzenie miałyby być detektorem do badania promieniowania Czerenkowa. Detektory tego promieniowania mogą mieć wymiary, które pozwalają umieścić je na stole. Ale w sukurs przychodzi nam sama Autorka, które w końcu przyznaje, że urządzenie „służy do detekcji neutrin”. Promieniowanie Czerenkowa jest śladem po trudnych do uchwycenia oddziaływaniach neutrin z materią. Stosując sposób argumentacji Autorki można by powiedzieć, że powszechnie znany licznik Geigera jest czujnikiem stopnia zjonizowania gazu (bo tym jest w rzeczywistości), a nie detektorem promieniowania radioaktywnego do czego się go używa i tak się go nazywa. Traktowanie Super-Kamiokande jako detektora promieni Czerenkowa pojawia się wyłącznie w polskiej wersji Wikipedii (w innych jest detektorem neutrin zgodnie z przeznaczeniem), więc być może tu jest przyczyna nieporozumienia³⁷.

W sprawie „**skali Plancka**” doszło z mojej winy do pomyłki. Uwaga, którą zamieściłem dotyczyła „**stałej Plancka**” – stąd zwrot, że „jest tylko stałą matematyczną”, mimo, że Autorka pisała o skali Plancka. Za pomyłkę i wywołaną tym faktem irytację Panią Ewę Solską przepraszam.

Z ostatnim poruszonym przez Autorkę wątkiem niestety nie mogę się zgodzić. Autorka napisała:

W naukach empirycznych ograniczona jest też pewność wyjaśniania; **ostatecznie nie da się udowodnić, że prawa fizyki są matematycznie spójne** (w świetle twierdzenia o niezupełności sformułowanego przez logika i filozofa matematyki Kurta Gödla [1906–1978], zgodnie z którym w **każdym systemie** istnieją zdania, które wykazują jego niekompletność, bo nie można ich w nim ani dowieść, ani obalić, nie ryzykując sprzeczności, tak jak w przypadku zdania: „Tego zdania nie da się dowieść”) (WMH, s. 55, podkr. D.S.).

Skomentowałem to następująco: „Twierdzenie Gödla, tak lubiane przez humanistów, ma zastosowanie wyłącznie do języków formalnych, nie może więc udowodniać spójności bądź niespójności jakiegokolwiek empirycznej teorii naukowej” (s. 511), a fizyka jest teorią empiryczną.

W swojej odpowiedzi Autorka sama dostarcza dowodu na słuszność mojej uwagi, gdyż pisze: „Twierdzenie Kurta Gödla z roku 1931 (dokładniej – pierwsze twierdzenie o **niezupełności systemu logicznego, w którym można wyrazić arytmetykę oraz dopełniające go twierdzenie drugie o niedowodliwości niesprzeczności**

³⁷ Sprawdziłem we wszystkich wersjach w językach indoeuropejskich na ogółem 23 wersje językowe.

takiego systemu)” (s. 503, podkr. D.S.). Właśnie tak! Twierdzenie Gödla dotyczy m.in. arytmetyki, jako języka formalnego! Bardzo obszerny cytat przytoczony przez Solską dotyczy problemu będącego konsekwencją twierdzenia Gödla w zakresie budowy maszyn myślących. Ponieważ komunikują się w języku formalnym, więc twierdzenie Gödla ogranicza zakładane możliwości maszyn odnośnie udowodnienia pewnych twierdzeń **w ramach tego języka**. Nawiasem mówiąc, nie znaczy to, że nie mogą być udowodnione przy użyciu innych maszyn komunikujących się w innym języku formalnym.

Z oburzeniem Autorka stwierdza, że szydę „z humanistów, którzy «lubią», jak to wyraził [Sikorski], twierdzenie Gödla” (s. 504). Nieprawda, nie szydę, tylko wypunktowuję niezdarne aplikacje (co już samo w sobie bywa traktowane jako szydzenie), które niektórzy humaniści, próbują wprowadzić do humanistyki „zapożyczając” się w teoriach fizycznych czy matematycznych nie mając o nich pojęcia. Nie jestem w tym odosobniony (o skandalu wywołanym przez Alana Sokala nie wspominając). Stanisław Krajewski poświęcił temu zjawisku cały rozdział swojej książki, w którym Autorka i czytelnicy znajdą kompetentną analizę zjawiska, do którego się odniosłem³⁸.

Autorka zarzuca mi, że „na dodatek [Sikorski] imputuje mi zdanie, którego nie sformułowałam, iż twierdzenie Gödla miałyby „udowadniać spójność bądź niespójność jakiegokolwiek empirycznej teorii naukowej” (s. 504). Niczego nie imputuję, to wynika z tego, co Ewa Solska napisała, a co wyżej cytowałem, ponieważ Autorka pisząc „ostatecznie nie da się udowodnić, że prawa fizyki są matematycznie spójne” (WMH, s. 55) mówi o fizyce jako empirycznej teorii, której spójności nie da się wykazać rzekomo ze względu na twierdzenia Gödla. Fizyka nie tworzy systemu aksjomatycznego o ustalonej semantyce, jak np. arytmetyka, czy jakaś logika i nie podlega twierdzeniu Gödla.

Na koniec dysputy o twierdzeniu Gödla Ewa Solska cytuje obszerny zestaw polecanych przez nią książek. Może prościej byłoby, choćby przywołać tylko jedną z nich, z konkretnym miejscem, w którym jej autor głosiłby coś podobnego do Autorki, niż próbować sugerować, że we wszystkich cytowanych książkach, gdzieś w ich bliżej nie zlokalizowanym wnętrzu (Autorka nie podaje stron), znajdują się dowody na poparcie jej twierdzeń.

W tym, jak i w kilku poprzednich przypadkach Autorka twierdzi, że nie wyrażała poglądów, które, jak twierdzą, są jej poglądami. Problem polega na tym, że Autorka nie zdaje sobie sprawy, że jej zdania mają konsekwencje logiczne, że poglądy, które uważam za jej poglądy nie muszą być wyrażone wprost, po prostu wynikają logicznie z tego co napisała. Być może Autorka myśli jedno, ale pisze co innego niemniej efekt jest tragiczny. Nie analizuję jej myśli, są mi bowiem niedostępne, a wyłącznie napisany przez nią tekst. Żeby to zilustrować. Wyobraźmy sobie, że ktoś pisze, iż układ słoneczny składa się z 2 planet wewnętrznych (czyli bliższych Słońca niż

³⁸ KRAJEWSKI 2003, s. 303–343.

Ziemia) i 3 zewnętrznych (czyli dalszych niż Ziemia). Powiedzmy, że ja zareaguję stwierdzając, że: „nieprawdą jest, iż system słoneczny składa się z 6 planet”. Natomiast ów ktoś broniąc się będzie twierdził, że „nieprawdą jest jakoby napisał, iż system słoneczny składa się z 6 planet” i może nawet tak rzeczywiście myśleć, ale taki jest wniosek wypływający z prezentowanego poglądu.

Określiłem tekst Ewy Solskiej jako skandaliczny. Użyłem tego określenia po raz pierwszy odnośnie do jakiegokolwiek tekstu, o którym się publicznie wypowiadałem. Nie zrobiłem tego bez zastanowienia i pod wpływem emocji, ale po głębszym namyśle, bo zdaję sobie sprawę z jego konotacji. Pilny czytelnik zauważy, że przykłady przeze mnie wybrane pochodzą z jednego, wprawdzie obszernego przypisu i jednej strony. Są jednakże tylko przykładem mającym uświadomić czytelnikowi poziom naukowy omawianego rozdziału. Nie byłbym w stanie w ramach recenzji podjąć się krytycznego rozbioru całości tekstu autorstwa Ewy Solskiej ze względu na bogactwo wątków, które musiałbym uwzględnić. Nie będę tu wprowadzał nowych przykładów dla wzmocnienia mojej argumentacji, bo Autorka już nie mogłaby się do nich odnieść.

Kończąc z konieczności ten przydługi wątek muszę podkreślić, że nadal nie rozumiem jaka była intencja Autorki, by omawiając granice poznania naukowego w podręczniku do metodologii historii odwoływać się do bardzo specjalistycznych pojęć z zakresu fizyki, które są z pewnością niezrozumiałe dla zdecydowanej większości (być może dla wszystkich) studentów historii i kierunków humanistycznych, skoro bywają niezrozumiałe dla Autorki.

KRZYSZTOF ZAMORSKI

Przykro mi, że Krzysztof Zamorski odbiera moją krytykę jako obraźliwą. Jeszcze bardziej mi przykro, że musiałem – z recenzenckiego obowiązku – pokazać, a nawet dwukrotnie wprost się wyrazić, że Zamorski kwestii prawdy w rozumieniu filozoficznym i prawdy historycznej nie rozumie. Czytając odpowiedź już nie mam najmniejszych wątpliwości, że rzeczywiście nie rozumie. Bo jakże inaczej miałbym określić tekst, którego autor omawianą kwestię tak zniekształca, że nie może to wynikać z braku umiejętności skrótowego (jak na potrzeby podręcznika) ujęcia tej kwestii czy też ewentualnej nieporadności językowej, ale wyłącznie z niezrozumienia poruszanego zagadnienia. Zwróciłem uwagę, że Zamorski nie podaje żadnej literatury o prawdzie historycznej poza odesłaniem do książki Pomorskiego (bez wskazania stron), w której jest mowa o koncepcji Topolskiego (za niesłuszne z mojej strony oskarżenie Autora o jej polecenie „towarzyskie” jeszcze raz przeproszam). Zapewne należało zapoznać się z choćby kilkoma wiodącymi pracami (a literatura jest bardzo obszerna), których autorzy postawili sobie za cel pełniejsze przedstawienie zagadnienia prawdy historycznej, także na szerszym tle

filozoficznym³⁹. Autor zarzuca mi, że przekręcam jego poglądy, wręcz manipuluję jego tekstem dla własnych korzyści. Przyjrzyjmy się zasadności tego zarzutu na kolejnych przykładach.

Zamorski twierdzi, że przykładem zarzucanych mi praktyk jest sposób cytowania przeze mnie jego zdania w kwestii definicji prawdy Arystotelesa, z którego usunąłem końcowy fragment (tu podkreślony). Przytoczę to zdanie w całości: „Skoro Stagiryta umieszcza ją [prawdę] w mowie, to kwestia ta jest oparta na swoistej korespondencji (dlatego definicja ta bywa również określana mianem korespondencyjnej) **między naszym odczytaniem świata a samym światem**” (s. 443 i n.). Gdybym zarzucał Zamorskiemu, że podanej definicji Arystotelesa nie pojmuję w kategoriach prawdy korespondencyjnej, to Zamorski miałby rację, bo ten dopisek mógłby o tym świadczyć. Ale ja postawiłem zarzut całkowicie przeciwny, że bezpodstawnie ją właśnie tak klasyfikuje, bo Arystoteles nie definiuje w niej prawdy jako zgodności (owej korespondencji) z rzeczywistością, lecz jako kwestię związaną z samym orzekaniem, czyli czynnością mowy. Więc jak mogłem cokolwiek zmanipulować? Dlatego po zacytowaniu tego fragmentu z Zamorskiego zadałem pytanie – „korespondencji z czym?”, bo w tej definicji – podkreślę, że zdaniem filozofów – nie ma nic o relacjach korespondencji. Powołałem się na fragment z książki Jana Woleńskiego, który z wielu wypowiedzi Arystotelesa o prawdzie tylko jedną, nie tę cytowaną przez Zamorskiego, uznał za możliwą do interpretacji w kategoriach korespondencji. Zamorski do tego się nie odnosi, przy czym twierdzi że opinię Woleńskiego też zmanipulowałem, ale nie wyjaśnia w jaki sposób.

Autor kontynuuje następująco: „O ile wpływ filozofów średniowiecznych na pojmowanie prawdy w historiografii średniowiecznej może być podważany i to niebezpiecznie, [...] o tyle znaczenie Arystotelesa dla późniejszej debaty o prawdzie osobiście pozostawiłbym w spokoju” (s. 495). Ja właśnie apelowałem o pozostawienie Arystotelesa w kwestii prawdy historycznej w spokoju, bo współczesny dyskurs filozoficzny, jak w metodologii historii, kwestię prawdy korespondencyjnej rozpatruje w kategoriach wypracowanych nie wcześniej niż w końcu XIX w., i nie jest to kontynuacja wywodów Arystotelesa. Nie zarzucam Autorowi, że „niczego nie rozumiał z podręcznika epistemologii Jana Woleńskiego” (s. 494), ale że nie rozumiał kwestii prawdy u Arystotelesa i Tarskiego w tym podręczniku przedstawionej. Nie domagałem się przedstawienia wszystkich dziewięciu definicji prawdy Stagiryty, ale krytykowałem, że jedną z nich – rzeczywiście najczęściej cytowaną w literaturze – przedstawił błędnie jako definicję prawdy korespondencyjnej.

Autor pisze: „Rozumiem też, że Dariuszowi Sikorskiemu wydaje się nieprawdopodobne, aby chudopachołek taki jak ja, był w stanie pojąć metaforyczność pojęcia «antynomia kłamcy»”, i dalej: „mogę w tym miejscu jedynie podkreślić, iż pisząc o antynomii kłamcy do głowy mi nie przyszło, aby ktokolwiek zakładał, iż nie dostrzegam metaforyczności pojęcia kłamcy w odniesieniu do definicji Arystotelesa.

³⁹ Np. HANDLIN 1979; McCULLAGH 1998; MURPHEY 2009; PARAVICINI 2010.

Zarzut ten traktuję jako zwykłą insynuację” (s. 494). Na nic te słowa, skoro Autor ostatnią wypowiedzią tylko potwierdza, że nie rozumie antynomii kłamcy. W antynomii kłamcy nie ma żadnej metafory, nie jest to też wyrażenie metaforyczne, bo niby do jakich metafor się odwołuje? Antynomia kłamcy odnosi się do samoodnoszących się do siebie zdań, np. „To zdanie jest fałszywe”, „teraz kłamię”⁴⁰. Przypomnę co Krzysztof Zamorski napisał w tej sprawie w szerszym dla jasności kontekście:

Jednocześnie definicja ta, szczególnie w jej Arystotelesowskim brzmieniu, niesie z sobą wielką niedogodność, podnoszoną już w starożytności. Chodzi tu o **antynomię kłamcy; jak można traktować prawdę, gdy kłamca mówi, że coś jest lub że czegoś nie ma?** Poza tym **klasyczna definicja prawdy nie odnosi się do warunków prawdziwości sądów o świecie** i jest stałym przedmiotem debat filozoficznych (WMH, s. 445, podkr. D.S.).

Powtórzę mój komentarz, że nie chodzi o to, jak twierdzi Zamorski, że „jak można traktować prawdę, gdy kłamca mówi, że coś jest lub że czegoś nie ma” (s. 445), ale o to, że wypowiadający zdanie (nie musi być kłamcą!) twierdzi w nim zarazem, że kłamie. Ponadto, co w recenzji pominąłem, klasyczna definicja prawdy jak najbardziej **odnosi się** do warunków prawdziwości sądów o świecie, tym odniesieniem jest zgodność owych sądów z rzeczywistością (faktami). Nerozwiązywalnym problemem jest jak tę zgodność ustalić.

Autor twierdzi: „wbrew temu, co pisze Sikorski jasno zaznaczam, że kwestię prawdy w ustalaniu faktów historycznych poprzez nakreślenie relacji faktu dziejowego, źródłowego, historycznego i historiograficznego wyprowadziłem z teorii Jerzego Topolskiego” (s. 493). Ja skomentowałem to tak: „[Zamorski] **wprawdzie odwołuje się do prac Topolskiego i Pomorskiego temu tematowi poświęconych**, ale w żadnej z nich nie znajdziemy uzasadnienia dla zastosowania takiego podziału” (s. 527) – to jest mój zarzut! Niestety Autor brnie dalej i teraz twierdzi, że „**Sam podział na owe cztery kategorie, jak słusznie zauważa Sikorski, był użyty przez Gerarda Labudę**” (s. 493, podkr. D.S.). Zamorski przypisuje mi potwierdzenie jego błędu polegającego na przypisaniu Labudzie podziału czterodzielnego (zamiast trójdzielnego).

Autor twierdzi: „Nie znajdzie się w moim tekście sugerowane mi twierdzenie, że Carl Becker mówił cokolwiek o faktie jednostkowym ponad to, co napisałem, czyli że widział on fakt jako wiązkę, czy wręcz strumień zdarzeń” (s. 493). Kompletnie nie rozumiem tego protestu. W recenzji dałem cytaty z rozdziału Zamorskiego, a tu wystarczy przypomnieć dla większej jasności jego opinię w szerszym kontekście: „W historii bardzo **rzadko mamy do czynienia z faktami jednostkowymi**. W praktyce dyskursu historycznego spotykamy najczęściej fakty historyczne będące w istocie pewnym strumieniem zdarzeń. **Słusznie zwraca na to uwagę Carl L. Becker** (1873–1945) w kultowym tekście *What Are Historical Facts?* (WMH, s. 452,

⁴⁰ WAWRZYNIAK 2011.

podkr. D.S.). Ponieważ w wypowiedzi Zamorskiego nie jest jasne na co „słusznie zwraca uwagę” Becker: czy na to, że „rzadko mamy ...”, czy na to, że „spotykamy najczęściej ...”, więc zacząłem komentarz od ostrożnego zastrzeżenia: „**Lecz jeśli on [Becker] miał być** inspiracją, to...” (s. 528), bo też w tę stronę naprowadza cytaty z Beckera podany przez Zamorskiego: „Można rzec, tysiąc jeden mniejszych «faktów» stworzyło ten **jeden prosty fakt** mówiący o tym, że Cezar przekroczył Rubikon” (s. 452, przyp. 35, podkr. D.S.) – prosty, czyli jednostkowy. Jeśli teraz Zamorski rozstrzyga, że Becker „słusznie zwraca uwagę, że w „praktyce dyskursu historycznego spotykamy najczęściej fakty historyczne będące w istocie pewnym strumieniem zdarzeń”, to z kolei ja muszę to oprotestować, gdyż nie ma on do tego podstawy w tekście Beckera. Amerykański historyk nic nie wiedział o strumieniu zdarzeń konstytuujących fakty, a twierdził tylko, że każdy fakt da się rozłożyć na mniejsze fakty, te zaś na jeszcze mniejsze – i jest to proces bez końca, z czego też wynikała jego niepewność, co jest tym właściwym faktem historycznym. Na tym budował swój sprzeciw wobec, jak to ujmował, traktowaniu przez historyków faktów jako trwałych cegiełek, z których rekonstruuje się przeszłość.

Zamorski nie może pogodzić się z myślą, że nie ma racji pisząc: „nie każdy fakt, nie każde wydarzenie, zjawisko czy proces może stać się faktem historycznym. Warunkiem do tego jest, aby został zapisany w źródle.” (s. 493). Zakwestionowałem tę opinię, ale Autor przywołuje na świadków Langlois i Seignobos z ich *pas de documents, pas d’histoire*. Tyle, że ja nie twierdzę, że można ustalać fakty bez źródeł, a do tego to znane powiedzenie obu francuskich historyków się odnosi. Twierdzę, jak zresztą inni historycy, że fakty, o których mówimy nie muszą mieć bezpośredniego potwierdzenia w źródłach – jak z kolei twierdzi Zamorski, pisząc, że każdy fakt musi być zapisany w źródle. Rzeczą oczywistą jest, że na podstawie **innych danych źródłowych, innych faktów**, niż samo bezpośrednie stwierdzenie faktu, można wnioskować o jego istnieniu, mimo że nie został zapisany w źródłach. Historyk może ustalić jako fakt narodziny Mieszka I na rok ok. 935, na podstawie danych pośrednich, chociaż nigdzie ten fakt nie jest zapisany. Ta uwaga wydawała mi się tak prosta i dotycząca sprawy na tyle oczywistej, że sądziłem, iż chodzi tu raczej o niezręczność stylistyczną Autora niż jego rzeczywisty pogląd, ale ku memu zaskoczeniu tego absurdalnego stanowiska wciąż broni.

Sądziłem również, że kwestia definicji prawdy Tarskiego nie powróci w dyskusji z powodów oczywistych, ale Zamorski postanowił trwać przy błędnym poglądzie i twierdzi, że „o tym czy definicja ta nie przydaje się do oceny prawdziwości narracji historycznej, jak zdaje się sugerować Sikorski w oparciu o wyjęte z kontekstu zdanie Jana Woleńskiego, zdania są podzielone.” (s. 494). Jeżeli są podzielone, to jaki filozof czy logik twierdzi (gdzie tu przypis!), że ma ona zastosowanie do języków naturalnych, a o tym jest mowa. Zamorski jednak odsyła mnie do „bardziej

zaawansowanych tekstów z zakresu teorii historii” i cytuje dwie prace Franka Ankersmita⁴¹, w których ten przywołuje teorię prawdy Tarskiego, a właściwie tzw. konwencję T Tarskiego. W cytowanym fragmencie wypowiedzi Ankersmita Zamorski wykropkował fragment, który nadaje temu zdaniu właściwy sens, mianowicie „(what is expressed in Tarski’s T-sentences)”⁴², pewnie dlatego, że wagi tego nie rozumie. Chodzi o to, że zdaniem Tarskiego tzw. konwencja T (czyli zdanie typu: „śnieg jest biały” jest prawdziwe wtedy i tylko wtedy, kiedy śnieg jest biały) ustala minimalne warunki każdej przyszłej definicji prawdy, nie tylko definicji Tarskiego. Ten właśnie warunek, rozumiany w kategoriach korespondencji upewnia Ankersmita, że historyk może wypowiadać prawdziwe zdania o przeszłości, ponieważ przyjmuje jej korespondencyjną interpretację. Lecz Ankersmit nie twierdzi, że definicję Tarskiego można zastosować bezpośrednio. Zamorski twierdzi, że „można się z nim [Ankersmitem] nie zgadzać, ale nie wolno ignorować obecności w historiografii dyskusji na ten temat” (s. 494). Trzeba mocno podkreślić, że nie ma w historiografii dyskusji nad stosownością teorii prawdy Tarskiego, jest tylko niezręczna próba jej zastosowania przez Zamorskiego. Jeżeli ktoś chciał mocniejszego dowodu na to, że Zamorski nie rozumie o co chodzi z teorią Tarskiego, to go sam dostarcza, gdy twierdzi, że „Trudno mi przyjąć imputowany mi brak zdawania sobie sprawy, iż teoria Tarskiego ma zastosowanie do języków formalnych. Piszę przecież w pierwszym zdaniu inkryminowanego akapitu: **Semantyczna teoria prawdy określa warunki formalnej, a więc logicznej, poprawności definicji prawdy**” (s. 495, podkr. D.S.). Jakakolwiek definicja czegokolwiek, żeby była poprawna musi spełniać warunki formalne dla definicji, czyli być logicznie poprawna. Warunki formalne to zupełnie coś innego niż języki formalne, jak np. arytmetyka! Semantyczna teoria Tarskiego określa taki warunek: to konwencja T. Gdy wytykam, że podany przez Zamorskiego przykład trzeciej wojny północnej (WMH, s. 453) na posłużenie się definicją Tarskiego w celu ustalenia prawdziwości wypowiedzi historycznej jest bezsensowny, to Zamorski twierdzi teraz, że „moim błędem był brak podkreślenia aspektu swoistej prowokacji dydaktycznej zawartej w tym przykładzie. Uważałem, że to dobry sposób na przedyskutowanie ze studentami kwestii prawdy w kontekście języka historyka”. A gdzie w tym przykładzie jest prowokacja? Zamorski podał definicję prawdy („Zdanie X jest prawdziwe wtedy i tylko wtedy, gdy jest spełnione przez każdy (nie skończony) ciąg przedmiotów” (s. WMH, s. 456), ale bez obszerniejszego komentarza nikt nie mający przygotowania w tej kwestii jej nie zrozumie. Nie rozumie jej też Zamorski, gdyż w podanym przykładzie jej zastosowania każe „wykazać, że **każdy ciąg zdarzeń składających się na to pojęcie jest prawdziwy**, ale nadto przyjąć, że daty początkowe i końcowe również spełniają to założenie” (WMH s. 453). W tym przykładzie, jak niemal każdym zdaniu wypowiedzianym przez historyka nie

⁴¹ ANKERSMIT 1998, s. 73; ANKERSMIT 2001, s. 291; i wersja polska tego ostatniego: ANKERSMIT 2004, s. 87.

⁴² ANKERSMIT 1998, s. 73.

ma zmiennych, które można zastępować ciągiem przedmiotów. Jest konkretne jedno zdanie jako zbiór jednoelementowy.

Wątek można zakończyć cytując samego Tarskiego: „w odniesieniu do języka potocznego niepodobna, jak się zdaje, już nie tylko zdefiniować pojęcia prawdy, ale nawet konsekwentnie i zgodnie z prawami logiki operować tym pojęciem”⁴³.

Kwestia prawdy w badaniach historycznych jest szczególnie ważna, ale dlatego, narażając się na nadwyżę cierpliwości czytelnika, pozwolę sobie ją jednak kontynuować.

Nie dziwię się reakcji Zamorskiego na mój zarzut, że „Z oczywistymi błędami w rozumieniu filozoficznych podstaw problemu prawdy u Zamorskiego nie ma potrzeby dyskutować” (s. 529), gdyż jest poważny. Wytknąłem Zamorskiemu, że przeciwstawiając prawdzie w rozumieniu korespondencji (czy adekwacji, jak pisze Zamorski za Tomaszem z Akwinu) inne koncepcje prawdy nie dostrzega, że można być zwolennikiem korespondencyjnej koncepcji prawdy, ale jako kryteria jej ustalania można stosować wszystkie pozostałe. Na to Zamorski odpowiada, że „nie było moim zamiarem maksymalnie komplikować klasyfikacyjnych aspektów filozoficznych interpretacji problemu prawdy. Przyjąłem podział na klasyczne i nieklasyczne definicje prawdy, moim zdaniem prostszy i bardziej przyswajalny dla studentów a również obecny w literaturze” (s. 495). Nie kwestionuję zasadności tego podziału i jego dydaktycznej użyteczności – sam bym tak uczynił. Kwestionuję natomiast to, że z omówienia klasycznych jak i nieklasycznych teorii prawdy nic nie wynika dla kwestii prawdy historycznej. Oczywiście studentom należy się wyjaśnienie problemu prawdy z filozoficznego punktu widzenia jako niezbędnego tła pojęciowego, ale po to, żeby służyło to wyjaśnieniu, jak one się mają do kwestii prawdy historycznej. Tego właśnie w tekście Zamorskiego brakuje.

Zamorski twierdzi, że nie widzi powodów dlaczego miałyby nie podnieść zagadnienia fałszerstw w historii (s. 496). Ja też nie widzę takich powodów, ale nie w kontekście prawdy czy post-prawdy. Po pierwsze nieprawdziwe zdanie możemy określić jako zdanie fałszywe, ale fałszywość zdania nie jest tożsame z fałszerstwem tego zdania, bo to są dwa różne pojęcia. Fałszerstwo zdania polegałoby np. na tym, że intencjonalnie zacytowałbym Zamorskiego przekręcając jego wypowiedź, niezależnie od tego czy byłaby ona prawdziwa czy fałszywa. Na dodatek moje fałszerstwo dokonane na zdaniu Zamorskiego mogłoby być zdaniem prawdziwym. W swojej odpowiedzi Autor kwestie fałszerstw rozszerza do fałszerstw historycznych, jako praktyki intencjonalnego przedstawiania dziejów inaczej niż wynika to z badań, ale w WMH sam Zamorski ograniczył się tylko do fałszerstw źródeł ilustrując to omówionym już przykładem Lorenzo Valli. Ja odniosłem się tylko do tego co Autor napisał, a nie co mógłby napisać, odniosłem się do uzasadnień jakie podał w WMH, a nie do tych, które dołączył w odpowiedzi.

⁴³ Tarski 1995, s. 15.

Autor broni swojego zdania o zamiarach Lorenzo Valli twierdząc, że nie z jego winy wypadło z krytykowanego przeze mnie fragmentu jego tekstu słowo „krytyka”, które miało być w pierwotnej wersji (s. 495). Nie zauważa jednak, że ta poprawka niczego nie zmienia, bo z „poprawionego” zdania już wprawdzie nie wynika bezsensowne zdanie, że Valla zajmował się rozpowszechnianiem rękopisu własnego dzieła, ale wynika inny nonsens, że zajmował się rozpowszechnianiem krytyki rękopisu własnego dzieła. Drobiazg, ale ilustrujący podejście Zamorskiego do mojej krytyki jego tekstu: obrona własnego stanowiska bez względu na sensowność argumentacji.

Uchylił się od jakiegoś podsumowania, bo bez wątplenia każdy czytelnik sam wyciągnie wnioski z lektury wszystkich tekstów związanych z WMH, jak i z samego WMH.

WYKAZ ŹRÓDEŁ I LITERATURY PRZEDMIOTU

- ANKERSMIT 1998 = Frank Ankersmit, w: Ewa Domańska, *Encounters: Philosophy of History after Postmodernism*, Charlottesville–London 1998
- ANKERSMIT 2001 = Frank R. Ankersmit, *Historical Representation*, Stanford 2001
- ANKERSMIT 2004 = Frank Ankersmit, *Narracja, reprezentacja, doświadczenie. Studia z teorii historiografii*, red. E. Domańska Kraków 2004
- BLOCH 2019 = Marc Bloch, *Pochwała historii czyli o zawodzie historyka*, przeł. Wanda Jedlicka, Kęty 2009
- BLOCH 2020 = Marc Bloch, *Apologie pour l'histoire ou métier d'historien*, ed. É. Bloch, Malakoff Cedex 2020
- CANOVAN 1992 = Margaret Canovan, *Hannah Arendt: A Reinterpretation of Her Political Thought*, Cambridge 1992
- COLLINGWOOD 1995 = *The Idea of History* R. G. Collingwood. Revised Edition with Lectures 1926–1928, red. Jan Van Der Dussen, Oxford 1995
- DRAY 1999 = William H. Dray, *History as Re-enactment: R.G. Collingwood's Idea of History*, Oxford 1999
- DROYSEN 2003 = Johann Gustav Droysen, *Historyka (fragmenty)*, tł. J. Kałużny, w: *Opowiadanie historii w niemieckiej refleksji teoretycznohistorycznej i literaturoznawczej od Oświecenia do współczesności*, red. J. Kałużny, Poznań 2003, s. 108–150
- DROYSEN 2012 = Johann Gustav Droysen, *Zarys historyki*, przekł. Mateusz Boniecki, Jakub Duraj, Bydgoszcz 2012
- DUSSEN 2012 = Jan van der Dussen, *History as a Science The Philosophy of R.G. Collingwood*, Dordrecht 2012
- FARGE 2002 = Arlette Farge, *Penser et définir l'événement en histoire*, Terrain, 38, 2002, s. 67–78
- FURET 1982 = François Furet, *L'atelier de l'histoire*, Paris 1982
- HANDLIN 1979 = Oskar Handlin, *Truth in History*, Cambridge (Mass.)–London 1979
- IGGERS 1995 = Georg G. Iggers, *Historicism: The History and Meaning of the Term*, Journal of the History of Ideas, 56, 1995, 1, s. 129–152
- KRAJEWSKI 2003 = Stanisław Krajewski, *Twierdzenie Gödla i jego interpretacje filozoficzne. Od mechanicyzmu do postmodernizmu*, Warszawa 2003

- KUJAWIŃSKI 2019 = Jakub Kujawiński, *Constructing Historical Knowledge, Inventing Historical Method: the Evidence of Medieval Commentaries and Glosses on Historical Writing*, *The Medieval Chronicle* 12(2019), s. 116–145
- MATERNICKI et al. 1993 = Jerzy Maternicki, Czesław Majorek, Adam Suchoński, *Dydaktyka historii*, Warszawa 1993
- McCULLAGH 1998 = C. Behan McCullagh, *The Truth of History*, London–New York 1998
- MURPHEY 2009 = Murray G. Murphey, *Truth and History*, New York 2009
- NIELSEN 1981 = Margit Hurup Nielsen, *Re-Enactment and Reconstruction in Collingwood's Philosophy of History*. „History and Theory” 20, no. 1 (1981), s. 1–31
- NORA 1972 = Pierre Nora, *L'événement monstre*, „Communications”, 18, 1972, s. 162–172.
- NORA 1974 = Pierre Nora, *Le retour de l'événement*, w: *Faire de l'histoire*, t. 1, ed. J. Le Goff, P. Nora, Paris 1974, s. 210–228
- NORA 2015 = Pierre Nora, *Retour sur un événement monstre. L'avant et l'après*, *Le Débat*, 2015, nr 185, s. 4–10
- OEXLE 1996 = Otto Gerhard Oexle, *Geschichtswissenschaft im Zeichen des Historismus. Studien zu Problemgeschichten der Moderne*, Göttingen 1996.
- PARAVICINI 2010 = Werner Paravicini, *Die Wahrheit der Historiker*, München 2010
- REILL 1975 = Peter Hanns Reill, *German Enlightenment and Rise of Historicism*, Berkeley 1975
- RENSMANN, GANDESHA 2012 = *Arendt and Adorno: Political and Philosophical Investigations*, red. Lars Rensmann, Samir Gandesha, Stanford 2012
- SCHAAP 2001 = Andrew Schaap, *Guilty Subjects and Political Responsibility: Arendt, Jaspers and the Resonance of the 'German Question' in Politics of Reconciliation*, *Political Studies*, 49, 2001, 4, s. 749–766
- SIKORSKI 2016 = Dariusz Andrzej Sikorski, *O polskim wydaniu Zarysu Historyki Johanna Gustawa Droysena*, „Studia Źródłoznawcze”, LIV, 2016, s. 179–181
- STANFORD 1994 = Michael Stanford, *A Companion to the Study of History*, Cambridge (Mass.) 1994
- TARSKI = Alfred Tarski, *Pisma filozoficzno-logiczne*, t. 1: *Prawda*, Warszawa 1995.
- VILLA 2020 = Dana Villa, *Hannah Arendt: Socratic Citizenship and Philosophical Critique*, „Research in Phenomenology”, 50, 2020, 2, s. 143–160
- WACHSMUTH 1820 = Wilhelm Wachsmuth, *Etnwurf einer Theorie der Geschichte*, Halle 1820
- WAWRZYŃIAK 2011 = Jan Wawrzyński, *Paradoks kłamcy*, „Analiza i Egzystencja”, 15, 2011, s. 161–179
- WEINBERG 2001 = Steven Weinberg, *Can Science Explain Everything? Anything?*, „The New York Review of Books” 20 August, 2001 <https://ned.ipac.caltech.edu/level15/Sept06/Weinberg/Weinberg.html> (dostęp: październik 2024)
- WHITE 1995 = Hayden White, *Response to Arthur Marwick*, „Journal of Contemporary History”, 30, 1995, 2, s. 234–246
- WRZOSEK 2024 = Wojciech Wrzosek, *Metodologia nauk historycznych a metahistoria*, w: Karolina Polasik-Wrzosek, Wojciech Wrzosek, *Szkice metahistoryczne*, Poznań 2024, s. 229–252